# RODZINA POLSKA

## MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ALUSIA CZERWIECÓWNA. — LWÓW.

ROK VIII WARSZAWA LIPIEC—1934

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Polska | zł. 7 | Czechosłowacja | kor. cz. 40 |
| Niemcy | R. mk. 5 | Ameryka | dolary 1.50 |
| Francja | frank. 25 | Inne kraje | fr. szw. 7 |

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak.-Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14-664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

# RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VIII. WARSZAWA, LIPIEC 1934.




*Lyon — kaplica misyj afrykańskich*

**J. Coquet**

# POLSKA ZAGRANICZNA

Jest taka Polska, liczy blisko 10 miljonów ludzi, to jest 45% Polski krajowej, obejmuje wszystkie kontynenty, klimaty i rasy i — niestety — nie tworzy żadnego imperjum pod naszym, polskim sztandarem. Czy to Polonja Ameryki Północnej spod gwiaździstego sztandaru, czy z Brazylji, Polska z Syberji, czy Francji, lub Westfalji, to jest Polska niezorganizowana, a przez to nic nieznacząca.

Jesteśmy jedynym bodaj narodem na świecie, z tych większych, który, mając blisko połowę swych sił na obcych kontynentach, nie stworzył przy ich pomocy już nietylko żadnego imperjum, ale nawet nie zdobył żadnego mandatu kolonjalnego.

Jeśli przed wojną płakano, że tyle sił polskich opuszcza kraj, idąc na obczyznę wysługiwać się cudzym interesom, jeśli symbolem tej naszej poniewierki był „Pan Balzer w Brazylji", owa niepełna epopeja polskiej służebnej ekspansji na lądy i morza, to dziś czas położyć tym łzom kres i wziąć się do organizowania zagranicznej Polski, tak, by się stała siłą znaczącą w świecie, by stworzyła, jeśli nie na kartach geograficznych, to choć na płaszczyźnie duchowej polskie imperjum.

Nie jest to żadna niezdrowa, wybujała ambicja, jeno nakaz ekonomji narodowej. Nie wolno nam marnować sił w rozproszeniu, jeśli nie chcemy stracić należnego miejsca w pierwszym szeregu narodów.

A pozatem. Gdy dziś znowu płaczemy wobec zamknięcia barjer emigracyjnych na nadmiar ludzi w kraju, gdy dziś wydaje nam się za ciasno we własnych granicach, gdy zatem problem zorganizowania emigracji jest problemem naszej racji stanu, zacznijmy tę organizację od ujęcia w ręce istniejącej już w tej chwili Polski zagranicznej.

Ten cel spełniają znakomicie organizowane co pewien czas sejmy i zjazdy Polaków z zagranicy. Najbliższy z nich ma się odbyć w sierpniu r. b. Każdy z takich zjazdów winien być dalszym etapem cementowania Polonji zakordonowej, tworzenia tego imperjum duchowego polskiego, jakie powinno i musi powstać.

Jeden Bóg, jedna mowa, jeden sztandar — oto punkt wyjścia, oto założenie programowe. Zanim więc wzbije się gdzie będzie potrzeba i można nasz sztandar białoamarantowy ze ścigłym orłem, powinniśmy utrzymać w pełni to, co jest gwarancją jego wzlotu: wiarę ojców i patrjotyzm.

Potrzeby kulturalne Polski zagranicznej — oto, co jest najważniejsze. Nie możemy stracić ani jednej duszy polskiej zagranicą, stracić dla wiary i Ojczyzny.

Tymczasem Polska, ta zagraniczna, ucisk cierpi, wynaradawia się, kaleczy swą duszę o twarde zręby obczyzny, niemieje jej język ojczysty wśród cudzych gwar.

W jej obronie stanąć musimy. Skoro bowiem polskie imperjum kolonjalne jest właściwie w tej chwili poetyckiem marzeniem (nie brońmy się przed niem, przeciwnie, umiejmy marzenia w czyn wcielać), to przynajmniej zachowajmy to, co zachować powinniśmy — narodowość naszej emigracji, rzuconej na obce, dalekie rubieże.

O tem nam myśleć dziś trzeba, o to się starać.

Dlatego z otwartem sercem Polska wita swą bratnią Polonję zagraniczną, dlatego wyciągamy do niej dłonie przez oceany i oddalone lądy. Dlatego gotowi jesteśmy dla niej do ofiar największych.



*Spójrzmy w siną dal...*

# DWIE SOSNY

*W środku miasta samotne sosny wyrosły,*
*Dwa leśne posły.*
*Latem ich szpilki błyszczą zielenią,*
*Zimą osadem śnieżnym się pienią,*
*Poezję szumu tłumi krzyk miasta,*
*Kurzem z bruku kora ich porasta.*
*Miasto zasnęło. Ciekawy księżyc wyszedł na zwiady...*
*Dwie sosny widzą huf rycerzy blady.*
*Żołnierze księstwa idą na paradę,*
*Nad Łukasińskim Moskal łamie szpadę.*
*Spiżowy zbudzi się Książę, gdy zadzwoni czwarta.*
*I przed Saskim pałacem zamieni się warta.*
*A potem wstanie Cień jeden kochany*
*Którego imię Żołnierz-Nieznany.*
*Wszyscy oni jednego są ducha,*
*Druh — wart druha.*
*Budzą się smutne domy i ludzie już chodzą,*
*O bohaterstwie Cieniów dwie sosny zawodzą.*

**Jerzy Helbich.**

# PO REFORMIE USTROJU SZKOLNEGO

Kończący się rok szkolny, który upłynął pod znakiem wprowadzania w życie nowej ustawy szkolnej, pozwala zrobić kilka uwag na marginesie tego faktu. Jest to nawet konieczne, aby wyjaśnić szerszej opinji ideologję i mechanizm ustawy. Nie została ona całkowicie jeszcze zrealizowana, w każdymbądź razie jednak zdołała już wpłynąć na bieg naszego życia szkolnego. Stąd różne echa w opinji, różne oceny, nastawienia, niechęci i aprobaty. Dobrze będzie je zbadać.

Co właściwie stanowi najcharakterystyczniejszą cechę ustawy? Dopatrujemy się jej w oparciu ustawy na płaszczyźnie ogólnych interesów oświatowych państwa i społeczeństwa. Że ustawodawcy się to dość szczęśliwie udało przeprowadzić, świadczy o tem chaotyczność i sprzeczność głosów oponentów. Jedni więc zarzucają, że ustawa uprzewilejowuje miasta ze szkodą wsi, inni, że występuje na korzyść wsi. Niektórzy występowali w obronie rzekomo pokrzywdzonego szkolnictwa powszechnego, inni krzywdy szkoły średniej uznali za wołające pomsty nieba, niektórzy występowali w obronie interesów szkolnictwa wyższego. Każdy z tych różnorodnych interesów chciał swej supremacji w ramach ustawy. Słusznie ktoś, piętnując te wystąpienia, nazwał je ujmowaniem sprawy według systemu „Kaczkocentrycznego", czyli wysuwaniem szczegółów ze szkodą ogółu. Ustawa zaś przeniknięta jest duchem interesu ogólnego. Jeśli kogo uprzywilejowuje, to przywilej ten jest dla wszystkich, a więc i krzywdą wszystkich.

Wobec tego, ten partykularyzm, ten brak wyczucia interesu społecznego, opartego na godziwym kompromisie — to jedno z najprzykrzejszych nieporozumień opinji wobec ustawy szkolnej.

Toteż z pewnem zdziwieniem należy przyjąć ocenę, wyrażoną w sposób bardzo ostry ze strony pewnego ciała profesorskiego co do podziału szkoły powszechnej na dwa szczeble: „ostatnie dwa lata nauki w niej będą niewątpliwie (?) bezcelowe i stracone (?)". Dlaczego stracone?

Mamy wrażenie, że takie apodyktyczne stwierdzenie jest nieco dziwne u przedstawicieli nauki, która tak rzadko ogłaszać zwykła coś za niewątpliwe. Trudno się dziwić, że ta, rzekoma zresztą dyskwalifikacja wartości szkoły powszechnej, ubodła do żywego organ nauczycieli szkół powszechnych, który tak protestuje: „Czyżby uważano szkołę powszechną i pracę w niej za wartość zupełnie nieistniejącą? Nikt dotąd nie odzywał się z taką pogardą i z takiem lekceważeniem" o szkole powszechnej.

W tej rozbieżności oceny roli i wartości szkoły powszechnej możnaby się dopatrywać nieomal czegoś tragicznego. Dowodzićby to mogło, jak trudno przychodzi ludziom t. zw. ścisłej wiedzy rzeczowa ocena „żywego życia". Przedstawiciele nauki uskarżali się, że nie zasięgnięto ich opinji co do ustawy. Zapewne, że mają prawo do jej wypowiadania, jak, że są „szczytami kultury", szkoda, że czasami pokrywa je mgła niezrozumienia życia. Słusznie więc poseł Wawrzynowski zaznaczył, nawiązując do tradycji Komisji Edukacji Narodowej, że „zanim Kołłątaj zasięgnął opinji uniwersytetu, musiał najpierw zrobić w tej uczelni porządek".

Zresztą i z kół profesorów, jak to zaznaczył ks. Szydelski, niebrakło głosów jak najbardziej przychylnych ustawie.

Wypada nam tu jednak stwierdzić, że, o ile pewne koła nie doceniają znaczenia szkoły powszechnej, inne ją przeceniają, chciałyby wszystko dla tego celu poświęcić.

Oponentom w odpowiedzi powtórzymy za pos. Stefaniakiem, że z „chwilą wejścia w życie ustawy zwiększy się pęd do organizowania szkół wiejskich wyższego stopnia. Że przyjdą tu z pomocą gminy". Zjawisko to dziś już obserwujemy.

Zdaniem naszem, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa powszechnego, ustawa odegra szczęśliwą i doniosłą rolę pobudzenia i wzmożenia akcji oświatowej oraz wzniesienia poziomu nauczania. W tem właśnie tkwi szczególna wartość i znaczenie ustawy.

Toteż płonne są obawy i niewczesne zarzuty, że ustawa jest niedemokratyczna. Wiadomo jest, że dzisiaj, jak to stwierdził pos. Kornecki, 60% młodzieży wiejskiej kończy szkołę nisko zorganizowaną i ma przez to raz na zawsze odciętą drogę do dalszej nauki. Ustawa, pobudzając tworzenie szkół wyższego typu, wywoła znaczną poprawę stosunków.

Zwłaszcza zaś, dzięki ustawie, przestają istnieć wszystkie t. zw. „ślepe ulice", to znaczy zupełnie zamknięte i niepowiązane ze sobą szkolne szczeble.

Zasada szkoły jednolitej oznacza powiązanie w jedną organiczną całość ustroju szkolnego.

Lecz skasowanie „ślepych ulic" nie oznacza bynajmniej otwarcia tam dla chaotycznego przelewania się elementu ludzkiego po wszystkich szczeblach ustroju szkolnego, aż do wrót akademji. Płonna jest więc obawa, że akademje zostaną zatopione pod pretekstem demokratyzacji i unifikacji, zbędnym elementem małowartościowych studentów.

Skasowanie „ślepych ulic" według projektu wiąże się najściślej z uregulowaniem „ruchu na przecznicach". Nowy ustrój szkolny nie rezygnuje bynajmniej z selekcji (najlepszy dowód, że skarżą się na to niektórzy oponenci, zarzucając ustawie antydemokratyczność). Przeciwnie, na każdym stopniu szkolnym przeprowadza ją wielokrotnie. Szkoła powszechna dzieli się na 3 stopnie. Ostatni jednoroczny otrzymał nawet żartobliwie miano „czapki" wraz z inwektywą, że może być ledwie marzeniem dla wybrańców. A więc selekcja, i to, jak niektórzy oskarżają ustawę, bardzo ostra. Szkoła średnia dzieli się na dwa szczeble, istnieje t. zw. mała i wielka matura. Raczej więc należałoby narzekać na nadmiar intelektualnych barjer celnych, niż na ich brak. Sarkają na to zwłaszcza ci, którym się nie podoba, że kierowanie temi barjerami przysługuje ministrowi, że wogóle minister aż w 36 wypadkach ma swobodę w wykonywaniu ustawy. Na to odpowiemy, że przedewszystkiem te kompetencje są, jak to każdy uważny czytelnik projektu stwierdzi, natury czysto praktycznej (określenie wieku kandydatów i to „wieku górnego"), a następnie, że w niczem nie przekraczają ram ustawy, ani nie naruszają praw niczyich.

Ważną cechą ustawy, co zgodnie wszyscy podkreślają, jest właściwe ujęcie szkolnictwa zawodowego i co się z tem wiąże, nadanie nowego i nad wyraz pożądanego kierunku tworzenia elity społecznej. Wszyscy stwierdzają zgodnie, że uniwersytety w Polsce są przeciążone: 45.000 słuchaczy szkół wyższych stawia Polskę, to prawda, na wyróżniającem 3-ciem miejscu co do procentowego stosunku do ludności. Przyznajmy jed-



*Procesja Bożego Ciała w stolicy.*

nak, że ani potrzeby kulturalne, ani widoki ekspansji gospodarczej, ani wreszcie same uzdolnienia tej młodzieży, nie otwierają pola dla jej wyzyskania. Prawdziwą próbą istotnej wartości tej inflacji studentów, jest ilość dyplomów. Ledwie jeden na 12 kandydatów kończy dziś studja. A reszta to zwichnięte egzystencje, „złamane karjery". I poco?

Nowa ustawa położy temu niewątpliwie kres.

Zaspokoi ona ambicje młodzieży i potrzebę wykształcenia, dając je w stosownem zaokrągleniu w postaci szkoły średniej. Zdolni pójdą wyżej aż do ław uniwersytetów.

Pozatem ustawa przesunie częściowo zainteresowanie młodzieży na wykształcenie zawodowe, dziś zepchnięte w cień zwłaszcza przez brak powiązania z wyższemi stopniami szkolnemi. Otwarcie drogi zawodowcom do wyższych studjów nie jest, wbrew pewnym obawom, pęknięciem nowej tamy, lecz przebiciem „ślepej ulicy": która dotąd załamywała dynamikę naszego życia kulturalnego.

Szkoła średnia wreszcie w dotychczasowej praktyce polskiej — jak zauważył minister Jędrzejewicz — naogół nie zdała egzaminu.

Toteż inowacje ustawodawcze są niewątpliwie trafnem i szczęśliwem w swej śmiałości podsumowaniem naszych doświadczeń szkolnych. Tendencja do przeniknięcia szkoły atmosferą „żywego życia" przez wprowadzenie nauki obywatelskiej nawet na uniwersytety jest również założeniem trafnem w zasadzie i mogącem się powołać na tradycje Komisji Edukacyjnej. Oczywiście od umiejętności realizacji tego zamierzenia zależy jego powodzenie. Kwestja szkolnictwa średniego nadaje się do oddzielnego omówienia. Obecnie możemy postawić tylko to jedno zastrzeżenie, by państwo pozostawiło inicjatywie prywatnej dowolność w zakresie utrzymywania typu szkolnego dawnego gimnazjum, do którego niektórzy mogą być przywiązani lub też, które w rękach pedagogów może wyjątkowo spełniać piękną misję. (Słusznie ktoś zauważył, że zalety gimnazjum płyną nietyle z jego 8 klasowości i przeładowanych programów, ile ze szczęśliwego w poszczególnych wypadkach doboru pedagogów).

Co do ogólnych podstaw nauczania, to gorąco podtrzymujemy głosy ks. Czuja i ks. Szydelskiego, którzy wyraźnie zaznaczają, że opiera się ono na podstawach religijno-moralnych.

Sumując te uwagi, wyrażamy pewne zastrzeżenia i obawy co do widoków całkowitej realizacji ustawy. Trudno jest nam wskazać na źródła potrzebnych na to środków. Lecz tu sprawa otwarta do dyskusji.

W każdymbądź razie musimy stwierdzić, że ustawa w swych założeniach dąży do podwyższenia poziomu umysłowego i kulturalnego najszerszych warstw, a przez to zapowiada przełom w dziejach naszego szkolnictwa.

**J. Czarnecki.**

*J. ST. CZARNECKI.*

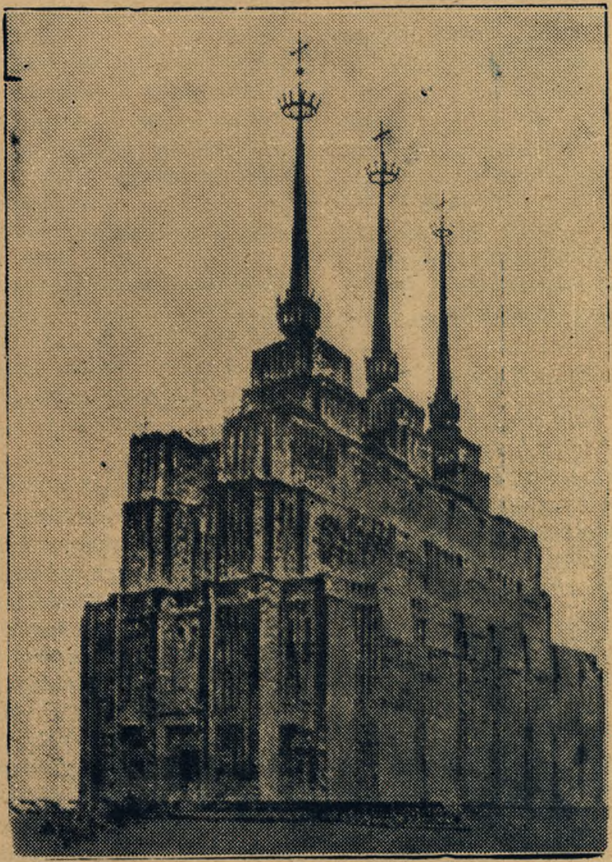
# RĘCE

*Na kosmicznej klawiaturze Bóg położył ręce obie,*
*W symfonji porywczej, burzy stworzył świat i ludzkie pogło-*
*[wie.*
*W wieczności cud życia poczęty ku ziemi granicom,*
*Ślą przez rwące, czarne odmęty z gromu błyskawicą,*
*Stwórcy ręce.*
*Ręce eterów falą śpiewające,*
*Ręce stwarzające,*
*Błogosławione bądźcie ręce.*
*Z nicości wywiodły, z grząskiej gliny bryły*
*Według świętej modły człowieka zlepiły*
*Boże ręce.*
*Wstał Adam z mułu ziemi piękny i wspaniały,*
*Wyrokami bożemi zwolon do nieb chwały —*
*Wywyższon nad losy zwierzęce.*
*Prężnym łukiem z podglebia ramion*
*Wykwitły dwie ręce,*
*Patrzcie, ile w nich radości znamion,*
*Jak kłonią się w niemej podzięce —*
*Dłonie weselem śpiewające, ręce szczęściem drżące.*
*Już, już w skrzydła się zmienią, które Lucyfer ongiś stracił,*
*Porwą człeka gwiazd przestrzenią do aniołów, jego współbraci*
*— Lotne ręce. — Wolne ręce.*
*Zawistny Lucyfer przeszkodził, przyodzian w węża skórę,*
*W sercu ludzkiem pychę spłodził i uwiódł w dół, miast w górę*
*— Skrzydlate ręce.*
*Sięgnęły po owoc nieźrały z dobrego i złego drzewa:*
*Gwiazdami nieba zapłakały, spadła bożego gniewu ulewa —*
*Przeklął Bóg człeka ręce obie i skazał je na trud krwawy*
*[życia,*
*Kres jego położył przy grobie, bólem naznaczył dziatek po-*
*[wicia —*
*Trudzi się człowiek, gnębi do dnia, urabia ręce swe po*
*[łokcie,*
*Płonie wśród znoju, jak pochodnia, w szpony zmieniają się*
*[paznokcie*
*Zbolałych rąk.*
*Poznał Adam w rękach gorycz utrudzenia i poznał w ramio-*
*[nach Ewy*
*Słodycz upojenia... O ręce pracy i miłości żywokrzewy!*
*Aż pojął oślepion znojem i miłością,*
*Jako ręce są dźwignią,*
*Co wznosi człeka nad nicością.*
*Jako są chlebem jego, nadzieją, zapłatą,*
*Te dłonie, które dlań stały się ongiś zatratą.*
*Ujrzał skarb wielki w rękach obu Adam-wygnaniec, Abel-*
*[rolnik*
*I Noe-żeglarz, gdy korabu zręby zbijał w pierwszej sztolni —*
*Zmęczonemi rękoma.*
*Oto ręce Abla ołtarz wznoszą, skąd dymy dziękczynne się*
*wzbiły...*
*O zgrozo widoma!*
*Kaina dłonie krwią się roszą. Abla przez zazdrość zabiły —*
*Przeklęte ręce.*
*I odtąd do rąk prócz trudu krwawa się jeszcze przyplątała*
*[zbrodnia,*
*Odtąd z istnienia cudów cudu wynoszą żałość i ból codnia —*
*Bratobójcze ręce.*
*Dłonie kwiaty, ręce żmije, palce Ewy, kainowe ręce,*
*Ramiona moje i niczyje, przez was w walce żyję i w męce,*
*[zgniję —*
*Przeklęte ręce.*
*A przecież błogosławię was, me ręce,*
*Muskułów falą śpiewające, ręce pracujące.*
*Najpierw malutkie, słabiutkie, dziecięce,*
*Ledwie pierś matczyną do ust zbliżyć zdolne,*
*Aż siły w nie spłyną i staną się potężne, prężne, wolne.*
*Ręce-podpora, ręce-klęska, ręce-triumf, ręce-zbrodnia:*
*Dla zagubionego w świecie przechodnia*
*W was jest zapowiedź przyszłego zwycięstwa.*
*Jeno trzeba wam najpierw sadzić, a później owoce zrywać,*
*Trzeba pierwej zboże posiać, aby chleb później pożywać.*
*Takie jest życia prawo, co stworzy nam dolę łaskawą.*
*Jak las liśćmi, rękami szumiąca, ludzkość rozmnożona w górę*
*[wciąż spoziera*
*Wieżą Babel w niebo się wdziera —*
*Ludzkość pracująca.*
*Uląkł się Bóg złej mocy, co w trudzie rąk wstała,*
*Tej budowli śmigłej, która z rąk procy w błękit poleciała.*
*Pomieszał więc języki wielkim budowniczym,*
*Splątały się ręce, powikłały szyki,*
*I spełzło na niczem...*
*Tak trudząc się bez celu i orząc bez żniwa,*
*Ludzkość swój przeklęty los w trosce przeżywa.*
*Aż się ulitował nad losem nędzarzy*
*Chrystus — syn Boży: przyjął kształt człowieczy —*
*Już nigdy więcej cud ten się nie zdarzy*
*Pośród gasnących stuleci.*
*Zstąpił Boży człowiek na ten ziemski padół,*
*Miłością promieniał z pod przymkniętych powiek, ręce lecząc*
*[wkładał...*
*Lecz znalazł się sprzedawczyk, apostoł zysku, Judasz,*
*Wydał za grosze Boga, który czynił cuda —*
*O wieści złowroga.*
*Objął czule Chrystusa, ucałował i zaraz go zdradził.*
*Postrzegłszy swą zbrodnię, własnemi rękoma się zgładził.*
*Złe ręce zwlekły z Chrystusa szaty, spoliczkowały, cierniową*
*[koroną zwieńczyły*
*Złe języki opluwały i wyszydziły.*
*A potem dłonie boże do krzyża przybito,*
*Krzyż w ziemię wparto,*
*Ozdobiono kartą*
*U szczytu:*
*Jezus Nazareński, przez swój urok boski —*
*Niech ręce od krzyża odepnie,*
*Zanim krew w nich skrzepnie.*
*Taki był napis łotrowski.*
*O ręce boże bolejące,*
*Dłonie miłościwe,*
*Ponad świat rozparte, królujące*
*Nad przyszłem dusz żniwem.*
*Ręce — krwawe drogoskazy,*
*Chroniące nas odtąd od grzechowej zmazy.*
*Przez was dokonał się cudu kołobieg:*
*Stworzon przez Boga-Ojca, zbawion z rąk Syna jest człowiek.*



# BAZYLIKA MORSKA W GDYNI

**Pomnik wdzięczności i symbol duchowy polskiego panowania nad Bałtykiem**



Przed dziesięciu laty zrodziła się myśl wybudowania w Gdyni, tuż nad morzem kościoła-bazyliki, któraby była pomnikiem wdzięczności Bogu za odzyskanie przez naród polski dostępu do morza, oraz wieczystym symbolem duchowym naszego panowania na wybrzeżu Bałtyku.

Jeżeli zważymy, że Gdynia jest reprezentantką naszego narodu i państwa w ogólnoświatowym handlu zamorskim, że w jej murach styka się z Polską większość obcokrajowców poraz pierwszy — oraz, jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż Gdynia jest i będzie zawsze najbardziej ważnym bastjonem polskości, o który biją fale świata germańskiego z dwuch stron, to myśl zbudowania takiego symbolu ducha i wiary polskiej przedstawia nam się jako konieczność.

Gdynia jest bezsprzecznie najważniejszem naszem miastem na Pomorzu — jest naszą morską stolicą. Stanowi ona ogniwo widomie łączące nas z morzem. Tutaj muszą ogniskować się i znaleźć swój wyraz wszystkie uczucia, jakiemi nabrzmiewa pierś każdego Polaka na myśl o morzu, utraconem ongiś i znowu odzyskanem w czasie zmartwychwstania Państwa Polskiego i połączenia wszystkich dzielnic, — o morzu, posiadanie którego jest tak nieodzowne dla zdrowego rozwoju naszej państwowości.

W Gdyni będą się odbywały wszystkie większe zjazdy nad morzem. Tu znajdą miejsce uroczystości związane ze Świętem Morza lub innemi okolicznościami. Uroczystości te muszą mieć odpowiednie do liczby uczestników, których będą dziesiątki tysięcy, tło i ramy. Takie właśnie tło i ramy dla wielkich uroczystości odbywających się nad brzegami Bałtyku ma dać Bazylika Morska wraz z otaczającemi ją placami. Oprócz tego, musi ona być pomnikiem odzyskania morza i zjednoczenia go ze wszystkiemi ziemiami polskiemi.

Towarzystwo Budowy Bazyliki Morskiej, w którego skład wchodzą najwybitniejsze osiobistości z Gdyni, a do komitetu honorowego najwybitniejsi obywatele i obywatelki z całej Polski, postanowiło przystąpić jeszcze w tym roku do rozpoczęcia budowy, podług projektu profesora inż. Bohdana Pniewskiego z Warszawy.

Poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę odbędzie się dnia 1-go lipca b. r., przy licznym udziale przedstawicieli świeckich i duchownych z całego kraju. Będzie to początek wielkiego dzieła, które stanie ze składek całego narodu polskiego.

Bazylika będzie mogła pomieścić około 3.000 osób wewnątrz Świątyni. Zewnątrz kościoła zaprojektowany jest ołtarz do nabożeństw polowych. Place otaczające Bazylikę pomieszczą ponad 30 tysięcy pobożnych. Bazylikę połączą z miastem monumentalnie potraktowane schody, oraz kilka dojazdów i dróg dla pieszych.

Koszta budowy wyniosą około trzy miljony złotych.

Nie wątpimy, że dzieło tak pięknie pomyślane stanie się imponującym dorobkiem naszej architektury i że będzie godnem narodu.

# ŚW. JAN BOSKO

## DAJ MI DUSZE...

*Święty przesłodki, święty żelazny, o Janie Bosko,*
*świeciłeś jasno, świecisz niezmiennie nad ziemią włoską,*
*świętego Jacka drogami wszedłeś do Polski,*
*takiż cudowny, takiż potężny i apostolski.*
*I wszedłeś do nas, i cicho stanąłeś w glorji,*
*rzucając blaski na ciemną kartę historji.*
*Stoisz przejasny, ubrany w ubogą odzież,*
*rośnie twe wojsko, armja olbrzymia — sieroca młodzież.*
*Otwierasz im oratorja-ramiona — niech wchodzą,*
*porywasz nieodparty, podobny największym wodzom*
*i trwa pośmiertnie prometeańska twa grabież,*
*boś rzekł: — Daj mi dusze, a resztę zabierz...*

## NAJSZCZĘŚLIWSZY Z LUDZI...

*Serce zamiera, ciało rozbite, tak bolą nogi,*
*troska zalewa, troska zatapia z bagna bulgotem...*
*Drogi cierniowe, o, niekończące się drogi...*
*Krzyż żebractwa, bolesna pogoń za złotem...*
*Potok miljonów — i w kiesie wieczysta pustka...*
*Ciężkich doświadczeń nieumniejszony ciężar...*
*Ulga chwilowa — cud... Weroniki chustka...*
*I napór ziemi, i znów materja zwycięża...*
*Ale w okręgu świata jam najszczęśliwszy:*
*serce rozdarłem i rozszerzyłem bez granic,*
*i ogarnąłem niem rzesze, błękitem zwabiwszy,*
*oczarowałem, powiodłem na szczyty krzesanic...*
*Oczarowałem Chrystusem — ulegli czarom —*
*i przygarnąłem dzieci i głodnych nędzarzy,*
*wwiodłem pod dach, nakarmiłem chlebem i wiarą —*
*lampą wieczystą me serce dotąd się jarzy.*
*Dla bezdomnych tyle domów, ach, tyle mam domów,*
*serce rozdałem chorym, i ciemnym, i trędowatym...*
*Chryste, Tyś mi to dał i Matka Twa pokryjomu,*
*jam najszczęśliwszy na świecie, bez miary bogaty.*

## WÓDZ ŚWIATA PRACY...

*Ręce twarde od prac tysiąca, ręce węźliste*
*wyciągam oto ku tłumom błogosławiące,*
*ku tłumom płynącym jak magma, prądem ognistym,*
*który ja przeobrażę w strugę na kwietnej łące.*
*Toczy się, jak lawina, wzbiera, narasta*
*niesfornym biegiem z głuchym, dudniącym tupotem*
*zbuntowany świat pracy — wsie idą i miasta,*
*grożą serc nienawiścią, lontem i młotem.*
*Ale ja wśród potopu spuszczam ratowne łodzie*
*i staję, jak budowniczy śluz ochronnych i grobel.*
*Krzyczę młodzieży: — Przejrzyjcie, Królestwo Boże*
*[nadchodzi! —*
*Straż trzymam u drzwi świątyni, gdy pęknie na nich*
*[skobel.*
*Zagarniam, wszystkich zagarniam w niewolę mego Boga,*
*nie będą z nich marnotrawcy i słudzy ladajacy.*
*Zbudźcie się — świta — patrzcie: daleka raju śreżoga...*
*Powstaję w imię Chrystusa — wódz nowy świata pracy.*

## W CELI

*Na godzinę sam w mojej celi — twierdzy oblężonej od*
*[gwaru —*
*opadam z ulgą na klęcznik, zapominam o bólu kolan,*
*spływa łaska z zaświata do duszy-rezerwoaru,*
*i wchodzę na bezdroża zalanych słońcem polan.*
*Spływam się Tobą, Boże, jak z oceanem ponik,*
*błękit — kraj Twego płaszcza, o Marjo Wspomoży-*
*[cielko...*
*Zbaw dusze, zbaw wszystkie — słyszysz? męczą się*
*[w grzechu, w agonji,*
*objaw się — niech Cię uwielbią taką Przeczystą i Wielką.*
*Przeszła godzina — kołacę do drzwi praca i troska,*
*dość modlitwy, z duszy-zbiornika pełnego łaski,*
*idąc, rozdaje radość pogodny, silny ksiądz Bosko,*
*rozdaje ludziom uśmiechy i małe święte obrazki.*

## CUD

*Taka młoda — a skurczona ręka i noga,*
*nieszczęsna, cierpiąca kaleka...*
*— Gemmo, wierz, ubłaga święty Bosko Boga,*
*chodźmy, droga niedaleka. —*
*Na ulicy skwar i szary kurzem platan,*
*oleandrów zbyt różowy kolor...*
*A w zakrystji — chłód i uśmiech brata:*
*— Czy to będzie z Bożą wolą? —*
*— Gemmo, którą rękę masz bez ruchu? —*
*— Tę, — zawoła, dłoń podnosi i otwiera.*
*Okrzyk krewnych: — Uleczona, święty Duchu! —*
*Chwila, która z oczu bielma zdziera...*
*Jakby Bogu klejnot Jego skradłszy,*
*uciekają, wieść roznosząc między ludem.*
*A za nimi święty zadumany patrzy,*
*wyczerpany modlitwą i cudem.*

## AUGUST CZARTORYSKI

*W narodzie duch przygasa i wnet się spopieli,*
*ledwo czasem się zatlą czerwieńsze połyski...*
*Modli się za swój naród August Czartoryski,*
*przeznaczony na serca ofiarę Anhelli.*
*Ubrać w Chrystusa Polskę mogilną nanowo,*
*rozdzwonić ją odświętnie hasłem: — Zmartwych-*
*[wstanie!...*
*W życiu tak beznadziejnie pusto i jałowo,*
*życie jest jak powolny uwiąd i konanie.*
*Aż wszystko mu rozświetlił, rozwiązał mąż święty,*
*mąż stary i strudzony nadmiernie — ksiądz Bosko. —*
*Już August płaszcz Marji widzi rozwinięty*
*nad każdem miastem polskiem i nad każdą wioską.*
*Zwiądł młody i nie ujrzał już dzieła kołyski,*
*lecz po śmierci do Polski słał odnowicieli —*
*synów świętego Bosko August Czartoryski,*
*przeznaczony na serca ofiarę Anhelli.*

**Anna Zahorska.**



# Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

## NIESPOKOJNE SERCE...

Już od szeregu lat uważny obserwator ludzi i stosunków ludzkich spostrzegać musi na świecie dziwny jakiś niepokój.

Niepokój ten bije w oczy wszędzie — nazewnątrz... Ogarnia stosunki państw i narodów... Jedne drugich się boją... Starają się zagłuszyć obawy własne i cudze zapewnieniami swych ministrów i ambasadorów, że właśnie jest przeciwnie, że chcą pokoju! I aby go sobie zapewnić, zabezpieczyć, przeprowadzają na szeroką skalę zbrojenia... Fabrykując broń i gazy trujące — (dla obrony przed „niespokojnym sąsiadem") — oświadczają głośno, że ukochały... pokój!

Niepokój ten spostrzegamy wszędzie, pośród wszystkich stanów i warstw społecznych. Nurtuje on szeregi robotników, niepewnych o swe jutro, nurtuje tem straszliwiej rzesze bez pracy, bez chleba. Widzimy je, jak snują się i kłębią nakształt fal olbrzymiej rzeki, gdy jej zagrodzić drogę... Szukają ujścia coraz gwałtowniej... A na widok tego, co się rozgrywa na dole, niepokój zakrada się do góry, czai się za fotelami ministrów, rośnie jak cień tajemniczej ręki, co pisze na ścianach świata: — Mane-Thekel-Fares... Jakiś fatalny, a straszny w swej grozie kataklizm iść się zdaje ku ludom, jak godzina przeznaczenia...

I niepokój od zewnątrz wnika głębiej do dusz. Owłada duszami młodych, trapi dusze starców, steranych latami. Opanowuje sfery najwyższej inteligencji, bezradnej, jak powstrzymać tyranję zła, — niepokój osiada wśród warstw nieoświeconych, nieumiejętnych, a zalęknionych, co jutro przyniesie? — niepokój, chyba największy, jawi się pośród tych, którym nie dano wychylić pełnego haustu wiedzy...

I tak jednem słowem — niespokojne jest serce wieku, w którym żyjemy.

A źródło tego niepokoju? — Gdzież ono bije? — Skąd rozlewa przeogromne swe wody?

Przyznać trzeba, że, odpowiadając na to pytanie, błąkają się przeważnie rozumy ludzkie. Nie wiedzą. Nie znają i nie dostrzegają źródła. Nie umieją zdać sobie dokładniej sprawy z psychologicznego łańcucha tych fal, z których jedna popycha drugą, druga trzecią i potopem niepokoju zalewają serca, dusze — w Polsce i w świecie...

Tymczasem źródło jest bardzo wyraźne. Niepokój serc zrodziła współczesna oświata.

Jakto? Oświata — źródłem niepokoju? Niemożliwe!

Tak jest. Człowiek im więcej wie, poznaje, tem więcej też posiadać pragnie z rzeczy poznanych. A klucz do krainy wiedzy ma oświata. W pokoleniach przed nami nie było oświaty powszechnie dostępnej. Słaby tylko odsetek uprzywilejowanych umiał czytać i pisać. Szerokie masy ludu nieoświeconego poprostu spały na globie — długie wieki — nawet nie przeczuwając, że można żywić w duszy jakieś aspiracje, jakieś pragnienia swoje... Osobiste, społeczne, dziejowe... I dziś połowa ludzkości w ten sposób jeszcze śpi, ale rok za rokiem coraz wyraźniej się budzi...

Budzi się lud za ludem, naród za narodem. Oświecają się głowy przez oświatę powszechną. A z głów oświecających się płynie prąd żywy do serc i zapala serca pragnieniami. Tego, co im umysł ukazał, w jak najszerszym zakresie...

I możnaby powiedzieć, że dusze ludzi nieoświeconych są jak wagony pociągu, stojące luzem na stacji. Obrastają zielskiem dokoła i rdzewieją znieruchomiałe. A dusze dotknięte oświatą są jak wagony pociągu w biegu, sczepione z lokomotywą. Z szumem i hukiem lecą, pędzą naprzód, wdal... Przebiegają poznaniem coraz to nowe okolice, pragną rzeczy coraz to nowych, innych... Niespokojne stają się dusze, niespokojne serca!

Oświata powszechna dokonała i stale dokonywa tego cudu, który możnaby nazwać otwarciem drogi w nieskończoność. Wiedza coraz szersza, coraz dokładniejsza, coraz doskonalsza, otwiera przed człowiekiem tysiące dotąd nieznanych dziedzin życia, oszołamia serca ludzkie. Tak wiele wiedzą ludzie, tak bardzo wiele, a w dwójnasób więcej jeszcze pragną... A że pragnie nie jeden, nie dwu, lecz dzisiaj już miljard, a jutro dwa miljardy ludzi, stąd nic dziwnego, że atmosfera świata, temperatura serc — pragnień i pożądań ludzkich — tak podskoczyła wysoko na kuli ziemskiej, tak rozpala się chwilami aż do żaru...

Rzeczy jedne, poznane, ciągną za sobą drugie, jeszcze bardziej upragnione... Jak wagony pociągu pędzą, i pędzą wdal... Nie widać kresu... Niespokojne serca ludzkie nie znają wytchnienia... Dokąd pójdą, gdzie znajdą uspokojenie wewnętrzne, spokój zewnętrzny?!...

Nie znajdą go nigdy — z kluczem oświaty dzisiejszej w ręku!

Dlaczego?

Dlatego poprostu, że oświata współczesna robi się przedziwnem ministerstwem komunikacji. Ukazuje podróżnym i otwiera tor w nieskończoność, a dowozi tylko wpół drogi. Zatrzymuje się na stacji: — Doczesność... Ziemia... Sporty, choćby podniebne... Biegi, choćby międzyplanetarne... Wyścigi, choćby stuletnie. To wszystko jednak jest niczem więcej, tylko skończonością. A pęd serca ludzkiego wyraźnie idzie i rwie ku stacji: NIESKOŃCZONOŚĆ!

Podróżni tego pociągu przyzwyczajają się wysiadać wpół drogi. Szkoły bez religji na plakatach są ideałem. Literatura bez Boga — życie publiczne bez Boga, domy bez Boga, dusze i serca — bez Boga! Przecież to współczesne MARZENIE! Marzenie ministrów, poetów, wszelkich zjadaczów chleba...

A nieskończonej skali serca człowieczego nie zapełni okruch ziemi... I dlatego tak spragnione, a tak niezaspokojone — niespokojne jest serce wieku... dopóki nie spocznie w Bogu!



*Jean Coquet*

# JEAN COQUET — KATOLICKI MA

**Paryż, w czerwcu.**

Nie jest rzeczą łatwą pogodzić oryginalność sztuki bardziej współczesnej z umiarem klasycyzmu.

Potrafi to doskonale młody malarz Jean Coquet, którego talent posiada równocześnie pierwiastki ducha wieku XX i chłodny spokój sztuki klasycznej.

Z dzieł tego katolickiego malarza, którego piękne freski ścienne od niedawna zdobią mury kaplicy Misyj Afrykańskich w Lyonie, wieje skupiona w sobie równowaga wewnętrzna, promieniuje potężna indywidualność twórcza.

Talent Jana Coquet'a zwrócił już dzięki swej sugestywnej sile ekspresji uwagę szerokiego ogółu katolickiego we Francji.

Doskonałym wyrazem talentu Jana Coquet'a jest fresk ścienny przedstawiający obrazowo słowa Zbawiciela: „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelję wszemu stworzeniu"... (rys. 1).

Patrząc na tę postać Chrystusa w białej szacie, widz uświadamia sobie, że nie jest to postać należąca do istoty z tego świata. Zbawiciel jest wyższy nieco od otaczających Go apostołów, promieniuje chwałą. Wyciągniętemi ramionami zdaje się chcieć ogarnąć cały świat. Twarz Jego ma wyraz boskiego majestatu i zadumania, równocześnie zaś zamglona jest smutkiem, bowiem wie, że wkrótce już będzie musiał odejść od tych, których ukochał. U stóp Chrystusa wykwitają cudownie piękne, wiosenne kwiaty ze skalistej gleby, z której tam, gdzie nie sięga blask, padający od Jego Osoby, wyrastają ciernie.

Jest to chwila apoteozy całego żywota ziemskiego Jezusa, który stoi wobec Swych uczniów w całym blasku swej nadziemskiej chwały, zalany ostatniemi promieniami słońca, zachodzącego nad morzem Galilejskiem. Zgrupowani dokoła Chrystusa Jego uczniowie nietylko wyrazem twarzy, ale i postawą wyrażają swe odrębne charaktery, usposobienia i skłonności. Wspólny im jest głęboki smutek i ból, że oto pozostają sami na tej ziemi, sami z majaczącym gdzieś w oddali obrazem mającym nastąpić prześladowań, może męczarni...

Artysta potrafił doskonale oddać w każdej postaci Apostoła jej indywidualny charakter, symbolizując przytem przeznaczenie każdego zosobna.

Piotr jako Opoka, na której Chrystus zbudował Kościół, znajduje się po prawicy Zbawiciela. Ukochany uczeń Jan klęczy z lewej strony, bliżej serca umiłowanego swego Nauczyciela, którego pragnąłby w tem sercu zatrzymać na zawsze. Andrzej kieruje swój wzrok w dal, marząc o krzyżu dla siebie...

Drugiem pięknem dziełem młodego malarza francuskiego jest



*Zwiastowanie — kaplica Betleem w Paray le Monial*
Foto Florentin

# LARZ FRANCJI WSPÓŁCZESNEJ

**Korespondencja własna.**

fresk w innej kaplicy w Lyonie (kaplica szkolna w École Pitrat), przedstawiający Boże Narodzenie (rys. 2) w którym Jan Coquet potrafił w subtelny sposób uchwycić całe piękno i poezję tej cudownej chwili Narodzin Boga-Człowieka.

Dodać należy, że dzieci ze szkoły nie mogą się poprostu oderwać od tego obrazu, tkliwą miłością otaczając przedstawionego na nim Jezuska.

Jan Coquet dał się już poznać nietylko jako doskonały artysta, tworząc freski. Posiada on również ogromne zdolności w dziedzinie witrażu. Jego witraże zdobią dziś cały szereg kościołów i kaplic w okolicy Lyonu i w samym Lyonie (rys. 3).

O wartościach, charakteryzujących tego młodego malarza francuskiego, świadczy najlepiej następujące jego credo malarskie:

„Nie lubię i nie umiem przepowiadać — mówi Jan Coquet, który jest młodym człowiekiem pełnym skromności — ale muszę wyznać, że przewiduję odrodzenie klasycyzmu w najbliższej przyszłości.

Co do mnie osobiście, to postępuję po tej drodze, jaką sam sobie nakreśliłem, niczego od nikogo nie zapożyczając. Prawdziwy artysta przy tworzeniu zapominać winien o teorji i poddawać się bardziej swemu instynktowi. Jest to jego najlepszy przewodnik w twórczości artystycznej”...

Należy podkreślić jeszcze wielkie zasługi żony młodego malarza, która jest dlań zarazem natchnieniem, towarzyszem i pomocnicą.

**C. Olive.**



*Boże Narodzenie — Lyon. Szkoła de Catour Pitrat*

Foto Florentin



*Chrystus.*

## ZJEDNOCZENIE POLSKICH LEKARZY KATOLIKÓW.

Mimo istnienia bardzo już licznych organizacyj lekarskich naukowych, zawodowych, urzędowych i towarzyskich, powstanie Zjednoczenia Polskich Lekarzy Katolików okazało się konieczne ze względu na ciężkie czasy przełomowe, w których, po twardych czasach materjalizmu i smutnych doświadczeniach liberalizmu, świat cały szuka nowych dróg. Zgodni są wszyscy, że dusza ludzka musi być uzdrowiona, nim nastąpi poprawa. Lekarz niemiecki Alter z Düsseldorfu rzucił hasło „zdrowie duszy to dusza zdrowa“, a któż ma ją uzdrowić jeżeli nie Chrystus, który nas ciągle nawołuje do ściślejszego z nim obcowania. Lekarz angielski Gladston zaś przepowiedział że „lekarze staną się przewodnikami ludów“.

Celem Zjednoczenia jest więc przygotowanie lekarzy do tego trudnego nad wyraz zadania pomagania w uzdrawianiu dusz i ciał oraz prowadzenia ich po ciernistych drogach życiowych według najgłębszej nauki Kościoła, a także uzasadnianie nauki lekarskiej z nauką Kościoła katolickiego będzie co ciągle aktualne w miarę wysuwania poszczególnych zagadnień przez życie. Żywy udział w pracy społecznej zwłaszcza Akcji Katolickiej będzie koniecznością po nieodzownem pogłębianiu i rozszerzaniu się prac Zjednoczenia, które przed niem stoją otworem.

Zarząd Zjednoczenia, wybrany na pierwszem posiedzeniu w dniu 9 lutego r. b., stanowią: Dr. Stanisław Wąsowicz — prezes, dr. Zofja Wojno — wiceprezes, dr. Stefan Pokrzewiński — skarbnik, dr. Bolesław Stypułkowski — sekretarz i dr. Franciszek Ksawery Cieszyński — członek zarządu. Wszelkich informacyj udziela i zgłoszenia kandydatów, poparte przez dwóch członków, przyjmuje prezes dr. Stanisław Wąsowicz (Chłodna 33).

# POTRZEBY STOLICY

Klasycznym przykładem złej gospodarki miejskiej jest Warszawa. Jej olbrzymi aparat samorządowy jest wysoce kosztowny, ale jego społeczna użyteczność i gospodarcza wydajność jest stosunkowo minimalna, jeśli nie liczyć tu miejskiego wozu meblowego, symbolu zachłanności finansowej i stale rozgrzebanych ulic, symbolu niedołęstwa. Żadne z urządzeń miejskich Warszawy, z wyjątkiem może tramwajów, nie stoi na wysokości swego zadania, na poziomie godności stolicy kraju i potrzeb blisko pótoramiljonowego miasta. Tymczasem chłonność fiskalna miasta jest olbrzymia, w niektórych dziedzinach, że wspomnimy o podatku kinowym wręcz potworna, a jego gospodarka chaotyczna i bezpłodna. Weźmy jakikolwiek przykład, choćby wodociągi. Co roku brak w nich wody i co roku karmi nas sławetny magistrat bajeczką o ich rozbudowie. A przecież wodociągi nie są żadnem gratisowem dobrodziejstwem, jakimś darem łaski. Przeciwnie, magistrat czerpie z nich dochody. Czy doprawdy, gdy wydaje się niepotrzebnie miljony na budowę niezdatnych do niczego cegielni czy piekarni, niema pieniędzy na szybkie załatwienie tej kwestji?

Inną, podobnie chlubną kartę w dziejach gospodarki Warszawy stanowiły Miejskie Zakłady Zaopatrywania, z których obecnie, po okresie długotrwałej likwidacji, zostały wyłącznie sklepy nabiałowe. Ongiś były one na wielką skalę rozbudowanem przedsiębiorstwem, w którego sklepach i wytwórniach można było kupić od stalówki do budulca, od funta soli do tonny węgla, od papieru listowego do ubrania. Dziś zostały z tego wspomnienia i sklepiki z serem... A pozatem roztwiera się przed badawczem okiem obraz niedorzecznej gospodarki. Instytucja o tak rozległej skali obrotów rozporządzała tylko 2.100.000 kapitału obrotowego (obrót sięgał nieraz 100 milj.). Toteż nic dziwnego, że MZZW. płaciły około 1 miljona procentów rocznie od pożyczek krótkoterminowych. Nie jest trudno wyliczyć, jak to podrażało towar. Niemniej wątpliwie przedstawia się inna strona finansowych kulis MZZW. Oto w ciągu trzech lat wykazały one 16½ miljona niedoborów. Bardzo to proste, skoro 90% weksli uzyskanych za sprzedany towar okazało się towarem „piwnicznym", a nieraz zupełnie bezwartościowym. W ich liczbie znaleźć można wiele weksli fikcyjnych, podpisywanych przez osoby: których nie można odnaleźć wogóle na świecie.

Oczywistą wadą zakładów miejskich była ich omnipotencja, do której nie dorosły swemi środkami. Zamiastześrodkować się na kilku najważniejszych artykułach, jak mąka, tłuszcze, mięso, handlowano wszystkiem, aż przehandlowano kilkanaście miljonów, które musi beknąć teraz podatnik miejski. Lecz szastanie pieniędzmi bez sensu i potrzeby to typowy genre samorządowej gospodarki. Cegielnia na Burakowie, piekarnia miejska, to dalsze przejawy nie liczenia się z groszem publicznym.

W wielkich jak i małych sprawach jest zawsze to samo. Stwierdzono, że miasto ponosi tak wielkie koszty na utrzymanie pojazdów mechanicznych dla potrzeby swych wyższych funkcjonarjuszy, że opłaciłoby się wynajmować na godziny taksówki. Kilometr przejazdu miejskiego kalkuluje się bowiem coś koło 65 gr.

Historja piekarni miejskiej, której urządzenie kosztowało około 3 miljonów, to rzecz z nieprawdziwego zdarzenia. Produkcja jej dotąd, po paru latach istnienia, nie zarabia na amortyzację. Chleb, wypiekany z tej arcypiekarni, przypomina różne ersatz-chleby z czasów wojny, podobno nawet strusie żołądki naszej armji nie są nim zachwycone. Jest zdumiewające, że warszawskich laurów piekarnianych pozazdroszczono w Katowicach. Wzniesiono tam piekarnię, której budowa kosztowała najpierw miljony, opłacalność eksploatacji jest tego rodzaju, że, jak wywodziły miejscowe gazety z dobroduszną ironją, taniejby wyszło kupować gotowy chleb na mieście i dopłacać każdemu konsumentowi po 50 groszy na kilo za łaskawe spożycie.

Niemniej niefortunnym okazał się projekt wzniesienia miejskiej cegielni na Burakowie (ktoś tłumaczył, że stało się to pod naciskiem zgóry). Dlaczego jednak wzniesiono kosztem ładnych kilku miljonów cegielnię pośrodku mającego powstać ośrodka mieszkalnego? — tego nikt nam nie wytłumaczy. Dlaczego każda miejska cegła byłaby prawie dwa razy droższa od cegły wyprodukowanej prywatnie? Dlaczego każda izba w miejskim domu jest o jakieś 30% droższa od izby wybudowanej prywatnie? — oto pytania, na które podatnik warszawski chce mieć uczciwą odpowiedź.

A Agril? Istna to perła magistrackiej gospodarki. O jej opłacalności świadczy chyba wymownie taki kwiatuszek: oto w bilansach wartość inwentarza obliczono pewnego roku w ten sposób, że do ceny rynkowej krowy dodano koszt spożytej paszy. Po raz pierwszy chyba w dziejach buchalterji udowodniono, że koszta handlowe przyczyniają się do majątku. Jest to humorystyka, która wcale niepochlebnie świadczy o jej autorach. W swoim czasie opinję publiczną poruszyła sprawa antyhigjenicznych warunków udoju krów na folwarkach Agrilu. Nie rozbroi nas tu magistracki komunikat, tłumaczący, jak to w rzeczywistości było z tym udojem i z tym tyfusem i kończący się — o ironjo — zaleceniem ludności Warszawy w celu ochrony przed tyfusem — mycia rąk i owoców. Kiedyż nareszcie umyją ręce panowie z Agrilu? Zasłużyli zresztą na solidną kąpiel w smole i wytarcie w pierzu. Tylko potulna Warszawa może ich tolerować.

Kiedy mowa o myciu, słówko trzeba rzec o miejskich kąpieliskach. Nie będziemy już wywodzić żalów, że nie wybudowano łaźni na Leszczyńskiej. Rozumiemy, że kto przepaskudził miljony w glinie na Burakowie, tego nie stać już na łaźnię. Zadziwiające jest jednak to, że magistrat wyzrekł się zarządu łaźniami na korzyść prywatnego przedsiębiorcy. W umowie z nim nie zastrzegł się przytem zupełnie co do wysokości opłat wejściowych. Oczywista rzecz, że nastąpi podrożenie cennika, i najuboższa ludność stolicy zostanie pozbawiona użytkowania łaźni. Ale zato magistrat wydał znów odezwę o pożytku mycia rąk.

Warszawska rzeźnia, mająca swego rodzaju krwawą kartę w dziejach Warszawy, miała rozpocząć nowy okres egzystencji pod kontrolą magistratu. Jego reformacyjne poczynania zaznaczyły się przedewszystkiem podwyższeniem cen uboju o 30%. Jak zaś wygląda oczyszczenie rzeźni z nieodpowiedniego elementu pracowniczego najlepiej świadczy, że zamiast dawnych 280, zapisano coś 540 nowych.

T. zw. mechaniczne oczyszczanie miasta ze śmieci okazało się, jak dotąd, bardzo kosztownem przedsięwzięciem, natomiast znakomicie przyczyniło się do wzrostu zaśmiecenia i zakurzenia, o czem najlepiej wiedzą płuca warszawiaków. Bodaj czy zdeklasowana miotła i śmietniczka nie byłyby lepszym środkiem zachowania czystości. Ale magistrat zawsze sili się na wyszukany sposób wymiatania pieniędzy na bezpożyteczne wydatki, wzamian dając rady moralne i higjeniczne swym potulnym podatnikom.

Czem jest gospodarka samorządowa, jak dalece wymyka się ona spod wszelkiej kontroli, tego dowodzi ostatni proces o defraudację 315.000 zł przez Hilarego Dąbrowskiego, buchaltera magistratu Warszawy.

Ten autentyczny Hilary, syn buchalera, wyznał na procesie rzecz niezmiernie charakterystyczną o tem, że kontrola finansów była i jest niewystarczająca, stąd mógł przez 5 (pięć) lat czerpać z kas miejskich, aż wreszcie wspaniałomyślnie uznał, że ma dosyć, że czas już na pokutę, na którą się też udał z sali sądowej wśród owacyj kwiatowych swych wielbicielek. Ten arcyzłodziej był bożyszczem wesołych lokali, w których witano go, jak udziel-

nego księcia hymnami, specjalnie na jego cześć skomponowanemi. Przypominamy to dla pocieszenia podatnika miejskiego, który zbyt natrętnie pyta na co idą pieniądze z kas miejskich!

Prawda, taki Nowy Jork miał burmistrza, Jonny Walkera, oskarżonego o korupcję. Jego również oklaskiwała publiczność, gdy zręcznemi posunięciami wywijał się z rąk sędziego. Oczywiście nie mamy zamiaru stawać po stronie korupcjonisty w przeciwstawieniu do defraudanta. Jednak trudno nie zauważyć różnicy, gdy bowiem łapownik bierze nieomal pod kontrolą publiczną to, co mu zainteresowany daje, to defraudant poprostu kradnie z cudzej kasy, korzystając z zaufania i braku kontroli.

Mniejsza zresztą o te subtelne dystynkcje moralne. Rzecz w tem, że wszystkim już dojadła magistracka gospodarka i że czas już na radykalną jej naprawę.

Pobieżny nawet przegląd powojennej gospodarki samorządu Warszawy wskazuje ogromnie ujemne jej wyniki. Straty poniesione przez miasto na tego rodzaju przedsięwzięciach jak piekarnia czy cegielnia, jak deficyt w zakładach zaopatrywania — można lekko szacować na 28—30 miljonów. Pieniądze te zostały zmarnowane, a co gorsza ciążą na mieście zobowiązania z tytułu zaciągniętych na inwestycje pożyczek. Obywatel jest więc podwójnie bity, nie ma tego co miasto mogłoby i powinno mu dać, i do tego musi płacić grube procenty. Nie trzeba bowiem ukrywać, że zaciągnięte przez Warszawę pożyczki są w całem tego słowa znaczeniu uciążliwe.

W tych warunkach, po przeszastaniu pieniędzy, nic dziwnego, że miasto, niezależnie od wpływu kryzysu, znalazło się bez środków, że nie może płacić pensji pracownikom. O smutnym impasie, w którym jest miasto, świadczy wymownie stan rozliczeń magistrackich kas ze Skarbem państwa. Miasto, jak wiadomo, inkasowało dla państwa pewne sumy, odwrotnie ma to miejsce również ze strony urzędów skarbowych. Lecz w obecnej sytuacji miasto nie jest w stanie płacić należnych z tytułu rozrachunku ze skarbem nadwyżek i w ten sposób było dłużne kasom skarbowym co miesiąc jakąś kwotę, wahającą się przeciętnie około miljona zł. Ten przymusowy sposób subsydiowania miasta przez skarb państwa nie jest niczem usprawiedliwiony i do niczego doprowadzić nie może.

Miasto jest na progu upadku finansowego. O jego stanie wymownie chyba świadczy stanowisko pracowników miejskich którzy uważają, że nie opłaci się nawet strajkować, gdyż od bankruta trudno się czegoś spodziewać.

Minęły czasy szalonego rozmachu inwestycyjnego, kiedy to w nowobudowanych gmachach szkolnych instalowano np. umywalnie, kosztujące po paręset złotych na głowę. Te luksusowe urządzenia wkrótce zresztą zostały zdewastowane przez niekulturalną młodzież. Dzisiaj magistrat żyć musi na podstawie miesięcznych budżetów, ledwie mając na zaległe pensje, o ile interesy pracowników nie muszą ustąpić przed koniecznością rat pożyczkowych.

Melancholijny to obraz, jeśli wziąć pod uwagę że wydano dziesiątki miljonów w sposób zupełnie bezcelowy. A tymczasem miasto ma cały szereg potrzeb urbanistycznych, bez których zaspokojenia zarówno jego wygląd jak i wygoda mieszkańców ogromnie cierpią.

Weźmy choćby taką „niewinną” sprawę, jak kwestja regulacji ulic. W tej dziedzinie, poza opracowaniem bardzo szumnych conajmniej na lat sto realizacji obliczonych planów, nie zrobiono literalnie nic. Ach przepraszam, przesunięto kilkanaście płotów na ulicy Siennej i zbudowano arkady na Wierzbowej (vel Wierzbowskiej), choć mam wątpliwość czy nie jest to zasługa dyplomatycznej interwencji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które zapewne zagroziło skargą do Ligi Narodów. Pozatem do poszerzenia miasta przyczynił się tak szczęśliwy przypadek, jak groźba zawalenia się domu przy ulicy Kopernika. Ile przy tem kunsztu technicznego i smaku artystycznego włożono w te urbanizacje, może sprawdzić każdy warszawiak. Z szumnie zapowiadanej viale na skarpie, która miała się zaczynać właśnie na Kopernika, jak dotąd, niema nic. Jak dotąd, nie rozwiązano ani o jotę dalej kwestji regulacji ulicy Chmielnej, która u wylotu do Nowego Światu korkuje haniebnie kamienica p. Malinowskiego, wytwórcy mydeł toaletowych. Mimo tego mydła sprawa stoi kamieniem na miejscu. A narażający swe życie w tej ruchliwej kiszce ulicznej potulny warszawski przechodzień, może podziwiać obok narożnego drapacza chmur iście arkadyjski fragmencik: jakiś opłotek zuchwale wżerający się w teren wąskiej ulicy. To samo na Nowym Świecie, gdzie sam magistrat buduje stragany zamiast kamienic. No tak, ale magistrat niema pieniędzy na wykupienie potrzebnych do regulacji ulicy odcinków. Poco zresztą kupować? Magistrat woli sprzedawać i potrafi sobie policzyć jakieś skromne 10.000 za kilka metrów powierzchni, potrzebnej pod portal pewnego towarzystwa ubezpieczeń na placu Dąbrowskiego. Oczywiście w tej proporcji musi się wydać dla magistratu nieosiągalnym ideałem wykupienie kilkuset metrów z prywatnych rąk. Zato na papierze mamy imponujące plany urbanizacji Warszawy, całe dotychczas istniejące fragmenty w bujnej wyobraźni magistrackiej inżynierji ulegają zburzeniu. Ulice poszerza się po lewej i prawej stronie. A wszystko w celu ułatwienia komunikacji. Tymczasem takie skromne projekciki, jak przebicie ulicy po niezabudowanym terenie koło Banku Polskiego lub od Traugutta do placu Marsz. Piłsudskiego, czy wreszcie ułożenie jezdni do ambasady francuskiej we Frascati napotykają na nieprzezwyciężoną przeszkodę braku dosłownie kilkudziesięciu tysięcy złotych. Lecz magistrat umie je znaleźć na wybudowanie przy Nowym Świecie parterowej budki dla „Pijalni mleka”. Czy kokafonja architektoniczna pomaga do trawienia?

Życie przecież idzie naprzód. Warszawa w niektórych swych punktach, np. na Marszałkowskiej czy Brackiej ma ruch o natężeniu równem Berlinowi czy Paryżowi. Takie doniedawna ciche arterje jak Jasna czy Krucza ożywiły się do niepoznaki. Tylko kwestja przystosowania ulic do nowych zadań śpi snem sprawiedliwego niedołęstwa. Prawda, zapomniałbym o próbach asfaltowania ulic. Niestety, warszawskie asfalty ogromnie szybko przypominają oblicze zwiędłej, pomarszczonej kokietki, co to szminką chce nadrobić nieistniejące walory. Doprawdy, czyż to najwłaściwszy sposób wykorzystania 20 miljonowej pożyczki asfaltowej? Bo nie trzeba dodawać, że tę asfaltową wyprawę Warszawa otrzymuje za pożyczone pieniądze. Słowem, asfalty zostaną starte na proch, a my znów będziemy spłacać długi. Nasz magistrat w swych projektach komunikacyjnych mało zwraca uwagi na praktykowane przez niektóre miasta (Praga czeska) sposoby odciążenia ruchu pieszego na wąskich ulicach przez system pasaży. W takiej Pradze czeskiej można obejść kawał miasta nie wychodząc wcale „na ulicę”, lecz snując się po różnych podwórcach, zamienionych na chodniki dla pieszych i ozdobionych witrynami sklepów. U nas jednak wszystko projektuje się odrazu na wielką skalę i tyle tego. A warszawianie po staremu gniotą się na chodnikach i wypatrują oczy, szukając znaków trasy dla przechodniów przez brudne jezdnie i policjantów, ściągających karne złotówki. Koło 30.000 mandatów karnych, któremi obłożono warszawskich piechurów: to prawdziwa hekatomba na ołtarzu niedbalstwa o porządek na ulicach. Zato przechodnie mają do dyspozycji 600 ton kurzu, napełniającego powietrze.

Warszawianin, zmaltretowany przez uliczny porządkowy nieporządek, pragnie odetchnąć świeżem powietrzem. Szuka parku. Zdawałoby się, że pod tym względem miasto zrobi wszystko dla zaspokojenia tego „snobizmu”, skazanych na suchoty płuc. Zdawałoby się. W rzeczywistości bowiem poza parkiem Paderewskiego, który właściwie jest dziełem inspiracji niemieckich okupantów, poza pożałowania godnym skwerem, a raczej śmietnikiem im. Traugutta, przez ironję chyba zwanym parkiem w Warszawie, zieleni nietyle przybywa ile ubywa. Przedmieścia zabudowują się coraz szczelniej, a przyroda coraz brutalniej, niby rozpustna dziewczyna w średniowieczu, wyganiana jest z miasta. Oczywiście miasto nie ma pieniędzy, aby zapłacić za wdzięki przyrody. Więc też sie-

(Dokończenie na str. 211).

# NA LOTNICZYM POSTERUNKU

Ś. p. Zygmunt Laskowski, syn lekarza, urodził się w 1899 r. w Warszawie i tu uczęszczał do szkoły im. Mikołaja Reja. W czasie wojny skończył ze złotym medalem gimnazjum im. Jabłonowskich w Odesie. W 1918 roku wstąpił na wydział mechaniczny Politechniki warszawskiej, lecz po miesiącu już opuścił uczelnię, by zgłosić się na ochotnika do wojska. Z powodu krótkiego wzroku odrzuciły go komisje lekarskie, jednakże — z zapałem godnym wielkiej sprawy — udało mu się na swojem postawić.

Służył jako kanonier w 2-giej baterji 8-go pułku artylerji polowej i do końca wojny pozostawał na froncie, mimo, że przeszedł w najgorszych warunkach, w szpitalu polowym, tyfus plamisty i czerwonkę.

Wychodzi z wojska w stopniu podporucznika rezerwy art., poczem przenosi się do lotnictwa jako oficer rezerwy 1-go pułku lotniczego, następnie zaś 6-go pułku lotniczego we Lwowie.

Po powrocie do studjów akademickich, krzewi jednocześnie ideę lotnictwa polskiego, umiłowaną od najmłodszych lat. Współdziała więc w założeniu Sekcji Lotniczej Studentów Politechniki warszawskiej, z której łona wyszedł później ś. p. inż. Wigura. Po paru latach przenosi się na Politechnikę Lwowską, gdzie jest jednym z założycieli Aeroklubu Lwowskiego i jednym z jego pierwszych pilotów. Klubowi temu zawdzięczamy dziś w lwiej części rozwój naszego szybownictwa. Równocześnie ś. p. Zygmunt Laskowski rozwija żywą działalność w Związku Awjatycznym we Lwowie, jako jego prezes. W tym czasie uzyskuje dyplom pilota turystycznego (motorowego) i szybowcowego i bierze udział we wszystkich wyprawach szybowcowych na terenie Bezmiechowej w Małopolsce Wschodniej. W 1931 roku zdobywa rekord długotrwałości lotu dla kategorji szybowców szkolnych. Wchodzi także w skład ekipy, reprezentującej Polskę w tegorocznych zawodach w Rhön (Niemcy) jako jeden z najlepszych pilotów szybowcowych w Polsce. Z umiłowaniem idei lotnictwa łączył ś. p. Zmarły wielką wiarę religijną, wspartą żarliwemi praktykami i ścisłem przestrzeganiem wskazań kościelnych. Bardzo często spowiadał się i przystępował do Komunji św., a w okresie lotów czynił to codziennie. Mszy św. słuchał nietylko w niedziele i święta, lecz conajmniej parę razy w tygodniu. Dzieckiem jeszcze będąc, najskrupulatniej zachowywał posty.

Nigdy nie wstydził się dać jawnego świadectwa swojej wierze.

Kiedy na kilka dni przed śmiertelnym lotem powiódł mu się bardzo lot próbny w Bezmiechowej na „S. G. 28" — najnowszym polskim szybowcu, konstrukcji inż. Grzeszczyka — wówczas — w oczach wszystkich



uczestników szkolenia i kierownictwa szkoły — ukląkł pod skrzydłem samolotu i modlił się żarliwie przez pół godziny. Świadkowie tego faktu twierdzą, że wywarł on na wszystkich niezapomniane wrażenie.

W dn. 21 października 1932 r. wystartował o godz. 7 i pół rano, celem ustanowienia nowego polskiego rekordu długotrwałości lotu dla kategorji maszyn rekordowych. Po 4-ch godzinach lotu, zerwał się ostry wiatr porywisty o zmiennej sile, przerzucając szybowiec na nieznany teren, odległy o kilka klm. od Bezmiechowej (wieś Zawadka).

Pilot mógł był wówczas ocalić się skacząc ze spadochronem, ale chodziło mu zwłaszcza o ocalenie szybowca, więc wybrał najlepsze miejsce do lądowania. Gdy robił wiraż, aby już osiąść na ziemi — raptowny poryw wiatru rzucił maszynę o ziemię, częściowo ją druzgocząc, przyczem pilot uległ złamaniu obu nóg i pęknięcia podstawy czaszki. Mimo tych obrażeń, natychmiast ukląkł i zaczął się modlić. W tej postawie znaleźli go okoliczni włościanie, śpieszący z pomocą. Klęczał i modlił się, choć jedna kość przebiła mu ciało i wyszła zupełnie na zewnątrz, a krew sączyła mu się z uszu i z nosa. Był przytomny jeszcze. Stojąc przedewszystkiem na straży powierzonego sobie szybowca, — kazał najpierw wymontować przyrządy i złożyć je przy sobie, a dopiero następnie sprowadzić wóz i przewieźć się wraz z ocalonym sprzętem do ambulatorjum kasy chorych przy kopalniach nafty w Ropieńce. Zabezpieczywszy sprzęt, wyjął z kieszeni różaniec i krzyż z relikwjami i modlił się, mimo, że już na wozie stracił przytomność. Po pięciu godzinach cierpień zasnął spokojnie snem wiecznym, zachowując zupełnie pogodny wyraz twarzy. Ostatnie Namaszczenie nałożył na niego ksiądz grecko-katolicki, gdyż proboszcz rz.-katolicki, chwilowo nieobecny, przybył już po śmierci pilota. Wrażenie, jakie ś. p. Zmarły sprawił swą postawą wobec śmierci — było ogromne.

Ksiądz Sanowski, proboszcz parafji Ropieńka, na której terenie Z. Laskowski życie zakończył, wyraził się o nim, że więcej budującą swą śmiercią zdziałał dla pomnożenia wiary, niż on kilkoma latami kapłaństwa. Ksiądz Jankiewicz, były wikarjusz parafji Zbawiciela w Warszawie, proboszcz par. Dąbrowice koło Kutna, spowiednik Zmarłego — napisał do jego rodziny: „Modlę się za niego, ale i do niego, bo to był człowiek prawie święty".

— — — — — — — — — — — — —

Dnia 21 października 1933 r. — w rocznicę bohaterskiej śmierci młodego lotnika — Aeroklub Lwowski wystawił na miejscu katastrofy pamiątkowy krzyż drewniany ze śmigłem samolotu oraz z napisem: „Tu zginął dn. 21 października 1932 r. ś. p. Zygmunt Laskowski — pionier szybownictwa polskiego". — Uroczystość poświęcenia krzyża poprzedziły nabożeństwa żałobne.

Z. G.




*W celu uczczenia Jubileuszu Odkupienia artysta-rzeźbiarz Władysław Glac wykonał płaskorzeźbę, z podobizną Pana Jezusa na tle pięciu najwaniejszych momentów w dziele Odkupienia.*

# KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI

Jednem z wielkich dzieł, jakie wspólnym wysiłkiem biskupów, duchowieństwa i wiernych, przy życzliwości władz państwowych, stworzył Kościół w naszej odrodzonej Ojczyźnie jest Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Jest on wspólnem dobrem wszystkich katolików i powinien odgrywać coraz większą rolę w religijnem odrodzeniu naszego społeczeństwa.

Przeto Ojciec św., Pius XI, który patronował powstaniu uczelni lubelskiej, gdy był przedstawicielem Stolicy Apostolskiej w państwie polskiem, gorąco pragnie, by Katolicki Uniwersytet Lubelski miał dostateczne środki finansowe do istnienia i rozwoju. W liście do biskupów polskich z dn. 28 kwietnia 1932 r. pisał: „To najbardziej nas ujęło, że zabiegacie usilnie, iżby Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu, w szczególny sposób z Nami związanemu, nie brakło środków koniecznych do istnienia i rozwoju".

Ojciec św. szczególniej błogosławi tym, którzy się przyczyniają do pokrycia kosztów istnienia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Gdy J. E. Ks. Biskup lubelski wkońcu 1932 r. składał Ojcu św. sprawozdanie ze stanu swej diecezji, Ojciec św. szczególniej zainteresował się uczelnią lubelską. Pisze o tem Biskup lubelski w liście pasterskim: „Ojciec św. zaznaczył, że cieszy go i rozwój Uniwersytetu, widzi bowiem w nim zadatek odrodzenia umysłowego i religijnego w duchu katolickim. Ojciec święty polecił oświadczyć biskupom, duchowieństwu i całemu społeczeństwu katolickiemu, iż szczególniej błogosławi tym, co swym groszem i życzliwością podtrzymują tę wyższą uczelnię katolicką, los tego Uniwersytetu bardzo mu leży na sercu".

W drugi dzień Zielonych Świątek odbyła się kolekta po kościołach, a w niedzielę dn. 10 czerwca zbiórka na rzecz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Zastosujmy się do życzenia Ojca św. Niech każdy złoży ofiarę do puszki lub niech wprost prześle do Uniwersytetu przez P. K. O. nr. 39 712 — Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Kto ma więcej, niech da więcej; kto ma mniej, niech da mniej, ale niech wszyscy staną do apelu.

**Rektor K. U. L.**



# MASKI Z NATCHNIEŃ

*Hille Bobbe i Raventos.*

**Hamburg w czerwcu.**

Atrakcją kulturalnej elity miasta stał się teatr masek, zorganizowany przez Hille Bobbe i Raventosa. Przy okazji zręczni artyści wykorzystali modną obecnie teorję rasistowską dla propagandy swego teatru, głosząc, że ich maski oparte są na staronordyckich motywach, wydobytych na światło dzienne wśród wykopalisk w Oseborg.

Tak czy inaczej, jak to czytelnicy tej korespondencji stwierdzić mogą, maski naszych artystów są wysoce ciekawe i estetyczne. Nie trudno jest w nich doszukać się motywów nietyle ludzkich, co zwierzęcych, a dokładniej odwzorowania się na anatomji gadów. Fakt ten stawia hamburskie maski obok słynnych maszkaronów, które można podziwiać na szczytach, rysunkach i kapitelach oraz malowidłach średniowiecznych zwłaszcza gotyckich, choćby w Notre Dame de Paris.

Motywy zwierzęce, splątane z ludzkiemi, spotykamy zresztą we wszystkich maskach, czy to będą starogreckie, czy mongolskie (chiński smok), indyjskie lub murzyńskie.

Maska niewątpliwie należy do zespołu akcesorjów obrzędowych, sczasem dopiero wyemancypowała się i przeszła do teatru, gdzie osiągnęła swoje apogeum w średniowieczu, by wreszcie zaniknąć i przejść do roli narzędzia zabaw ludowych, zwłaszcza w karnawale, przynajmniej w Europie.

Gdzieindziej bowiem, wśród ludów pierwotnych, maska utrzymała się na swem stanowisku ważnego narzędzia obrzędowego, ewentualnie akcesorjum teatralnego.

U Greków zwyczaj posługiwania maską wywodzi się z obrzędów i wtajemniczeń bachicznych. Powoli wykrystalizowały się pewne typy masek: satyry, syleny, wreszcie Bachus. W maskach tych, gdzie nietylko rysy twarzy, ale oczy, włosy, broda wszystko było sztuczne, wyraźnie widzimy cechy zwierzęce, upodobnienie zwłaszcza do kozła, który potem stał się symbolem szatana.

W tej postaci pojawi on się w średniowiecznych malowidłach, obok zresztą innych zwierzęcych masek, wyrażających grzechy i pokusy. Do klasycznych należy zaliczyć tu wszystkie obrazy, przedstawiające kuszenie św. Antoniego.

Grecka maska obrzędowa przechodzi do teatru, gdzie wydaje trzy typy: tragiczny, komiczny i satyryczny, wyrażające grozę, wesołość i drwinę. Obok tego powstaje jeszcze maska odznaczająca się większem zbliżeniem do



*J. Czarnecki*

## NATURY I SZTUKI

ludzkich rysów, a używana przez tanecznikòw, t. zw. orchestrowa. Maski bywały przytem wyposażone w odpowiednie przyrządy wzmacniające głos. W ogromnym amfiteatrze starożytnym, gdzie zasiadało dziesiątki tysięcy widzów, maska niewątpliwie miała do spełnienia bardzo praktyczną rolę. Jej monotyp wyraźnie wyznaczał charakter danej roli, pozwalając się orjentować widzom nawet zdala. Oczywiście niezmienność wyrazu maski wprowadzała pewną jednostajność nużącą i nudę, zamykała drogę mimiki indywidualnej. Ale trudno, czemś trzeba było okupić zalety maski.

Znaleźli się oczywiście wrogowie maski, którzy też ją powoli usuwali. Doskonalenie się charakteryzacji stworzyło maskę ruchową z ludzkiej twarzy. Tem niemniej długo utrzymuje się typ maski, zwłaszcza w postaciach komicznych arlekinów, pajaców włoskiej commedii del'arte i teatru buffo.

Maska staje się wreszcie rekwizytem zabaw ludowych, maskarad i redut, których pełno jest w wiekach XVII, XVIII i XIX. Słynne karnawałowe maskarady w Wenecji, Nicei, Wiedniu czy Paryżu nie mogą się obyć bez rewji olbrzymich masek i bez zamaskowanych czarnemi przepaskami uczestników.

Lecz maska, która na tych zabawach dominuje, należy właściwie do jednego typu satyrycznego. Takie maski pokazał nam ostatnio w Operze Warszawskiej słynny balet Joosa z Berlina.

Zanika natomiast typ maski, oparty na motywach zwierzęcych, maski budzącej grozę i, powiedzmy, odrazę, ale zato pełnej niezrównanej ekspresji. Ten typ reprezentują właśnie nordyjskie maski hamburskich aktorów. Motywy zwierzęce są także punktem wyjścia masek Józefa St. Czarneckiego, z których podajemy tu reprodukcje.

Najciekawszą rzeczą w tych ostatnich maskach jest, że oparte są one na faunie morskiej, głębinowej. Osnową były tu ryby głębinowe, zwane latarnikami.

Gdy się uważniej wpatrzeć w te maski, trudno się opędzić pewnym sugestjom charakterologicznym i mimicznym. W jednej z nich znajdziemy wyraz obojętności i pogardy w drugiej skupienia i natchnienia, w trzeciej wyniosłości i oziębłości. Zresztą, niech sobie każdy podkłada co chce. Najważniejsze, że nie może pozostać obojętnym.

Nawiasem mówiąc nasi artyści, biadający rozpaczliwie nad wyczerpaniem się tematów i robiący z dzikim uporem martwe natury z nieśmiertelnej cytryny, cytry, stłuczonego talerza i tym podobnych talizmanów swej słabiutkiej inwencji, powinni się zwrócić do nowych źródeł natchnienia, półżartem półserjo mówiąc, właśnie głębinowych. Nieprzebrane jest bogactwo i egzotyka form jakich dostarcza przyroda, ale nie ta z poddasza na piątem piętrze, gdzie kwitnie rahityczna pelargonja i widać badyle kominów fabrycznych.

Ta przyroda dalekich mórz i lądów. Ba, tylko jak do niej dotrzeć? Miast przesadnie in toto wyklinać np takiego Haekla, dobrze zrobi ten, kto zajrzy do jego pracowitych i pięknych ilustracyj, któremi własnoręcznie zdobił swe dzieła przyrodnicze.

A więc nawrót do prawdziwej, egzotycznej przyrody (tę anemiczną z warszawskiego śmietnika zostawcie reporterom) i to przyrody nie traktowanej w pejzażowem en masse, ale w szczegółowem studjum jej finezyjnych kształtów. Z przyjemnością można było oglądać na wystawie legjonistów dwie akwarele, przedstawiające motywy z akwarjum. Jakież to bogactwo kształtów i jaka skala kolorów i odcieni, jaka w tem wszystkiem harmonja. A przytem jaka rzetelna rewelacja.

Zamiast malować po raz 1001-szy z „izmowemi” grymasami starą ciotkę, czy nie lepiej narysować złotą rybkę (byle nie smażonego śledzia czy ości po nim).

A zresztą, kto nie zechce, niech się weźmie do much, czy motyli, do ptaków — wreszcie może kolibry i pawie już były — byle nie w kurniku lub na rożnie! Jeszcze jest z czego brać natchnienie, tylko trzeba wyjść poza cztery ściany sztuby.

**Irena Pawłowska.**



*J. Czarnecki*



*J. Czarnecki*

## Z TEATRU.

Sztuka Rostworowskiego „Kaligula” daje ciekawe studjum psychologji tyrana. Tyran musi we wszystkich wywoływać lęk, tylko jemu nie wolno się bać. Niechby kto zauważył, że tyran się boi, a wtedy biada mu, wtedy przychodzi jego koniec. Zależni od niego i strachem tylko skrępowani, rzucą się na niego jak dzikie psy i rozszarpią. Czekają oni tylko na ten moment psychologicznego przełomu. Narodziny strachu w tyranie wyzwolą w nich odwagę, a właściwie zuchwałość. Kaligula wie o tem i wymusza też u swych podwładnych strach, dopingując ich ciągle grozą swej wszechpotężnej władzy. Pokazuje im, że umie i **chce** rozkazywać a oni **muszą** spełniać jego wolę. Może być ona niedorzeczna, może budzić zdumienie i niechęć, ale musi być wypełniana. Więc Kaligula każe wybrać swego ulubionego konia — konsulem, czy, powiedzmy, koń-sulem. Ludzie się zdumiewają, ale nie mają odwagi wyrazić buntu. Ulegają tyranowi, a on cieszy się ich podłością, ich małością, ich nędzą i brakiem charakteru. To jest właściwie jedyna jego satysfakcja. Lecz ta gra, którą prowadzi, jest ogromnie wyczerpująca, do czasu można realizować hasło divide et impera. W sztuce Rostworowskiego mamy przedstawiony problem tyranji związanej z osobą władcy, ale może być też tyranja bezosobowa, tyranja idei czy programu, np. bolszewizm. Przedstawił ją. w znanej warszawskiej publiczności sztuce, „Strach” Afigenow, potrąca o nią inny sowiecki pisarz, Katajew, w „Człowieku z teką”. Oczywiście mechanizm władczego działania strachu jest upadlający, wszystko jedno czy mamy do czynienia z tyranją jednostki czy hasła. Nic dziwnego, że Kaligula tak nienawidzi swe otoczenie, widzi w niem jedynie trzodę, stado, którem rządzi bat. Gdy więc, ku swemu zdumieniu, dostrzegł w tem otoczeniu człowieka, który oddaje się na jego usługi w sposób bezinteresowny, który wierzy mu i chce mu pomóc. Kaligula nagle otacza go swą sympatją i to bodaj rozhartowuje cezara w tej walce z ludzką trzodą. Ginie w nim nieludzka drapieżność i jako konsekwencja musi przyjść upadek. Rachunek życiowy Kaliguli tak został obciążony, że inaczej być nie może. Taką jest tragedja wielkiego **Kaliguli.**

## ZE SZTUKI.

W IPS-ie mamy świetną wystawę reklam. Że grafika w Polsce należy do najtęższych dziedzin sztuki, to stało się już komunałem. Fakt ten oczywiście nie pozostał bez konsekwencji dla poziomu grafiki użytkowej, jaką stanowi reklama. Jasność, precyzja, dosadność efektów plastycznych zostały tu doprowadzone do niebywałej perfekcji. Na ostatniej wystawie dały sobie rendez-vous wszelakie techniki i style, na których jednak wybujałości położył kojący tłumik przymus pożytku. Kojący powiadamy, gdyż nie jest to wcale ze szkodą dla efektu artystycznego. Na afiszach naszych doskonałych artystów, jak Bartłomiejczyk, Gronowski, Sopoćko, Nowicka, Sandecki, Michalski, Rakowski Himm można się uczyć i uczyć celowej gospodarki linją i plamą — kształtem i kolorem, tej artystycznej ekonomji, o której niestety tak często zapominają artyści, malujący „sobie a Muzom”. (Muzy ziewają z irytacji i nudy). Czynnik użytkowy mniej jednak wywarł wpływu na artystów dekoratorów, prezentujących w Zachęcie swe al fresco. Jedynie może utrzymane w stylu projekty ścienne do jednego z romańskich kościołów na Śląsku wychodzą obronną ręką spod krytyki. Natomiast projekty ścienne do pawilonu myśliwskiego trochę irytują swą dziecinną prymitywizacją, zarówno kompozycyjną, jak i kolorystyczną. Musi być przecież jakaś różnica między fantazją „genjalnego” dziecka, a fantazją dojrzałego artysty, który odbył studja.

W dziale ogólnym Zachęty zwraca uwagę wielkie płótno batalistyczne Batowskiego ze Lwowa. Doskonale skomponowane i kolorystycznie rozwiązane z dramatycznem napięciem przedstawia walkę błękitnej armji z Ukraińcami.

## II POPIS WYŻSZEJ SZKOŁY MUZYCZNEJ.

Już rok temu mieliśmy sposobność wyrazić się z pełnemi pochwałami o chórach Wyższej Szkoły. Dzisiaj chętnie je powtarzamy. Podkreślić musimy przedewszystkiem z zadowoleniem i wdzięcznością pracę nad śpiewem gregorjańskim pod dyr. prof. K. Kołakowskiego. Odrodzenie liturgiczne w swym nawrocie do najgłębszych źródeł życia religijno-kościelnego nie może pominąć tak ważnej dziedziny, jak śpiew Musi ona harmonizować się z całą atmosferą, jaka przenika czy, powiedzmy ściśle, przenikać powinna nabożeństwa kościelne. Nie można tolerować dłużej popisów operowych, jakich pełno bywa po kościołach.

Walka z tym stanem rzeczy musi mieć też, a raczej przedewszystkiem musi mieć swą stronę pozytywną w postaci uprawy śpiewu o cechach wybitnie liturgicznych.

Takim jest właśnie śpiew gregorjański. Łączy on w sobie prostotę z majestatycznością, które stanowią najistotniejsze cechy nabożeństwa, pojętego nie jako przedstawienie teatralne, ale jako zbliżenie się i adorowanie Boga.

Te elementy znaleźliśmy właśnie w chórze dyr. Kołakowskiego. Wykonane przezeń Introit „Exurgeo”, Sekwencja „Victimae paschali laudes”, Antyfona „O sacrum convivium” logicznie dobrane w swym nastroju potęgującej się radości, pod pełną artystycznego umiaru batutą, ukazały całe swoje piękno klasyczne. Doskonała czystość intonacji, pewność i precyzja rytmiczna, zachwycające logicznością cieniowanie dynamiki, ujawnione zwłaszcza w Antyfonie, wszystko to zapewniło słuchaczowi prawdziwą ucztę duchową, przenosząc go przytem w wyższe, natchnione świętością regjony.

W drugiej części usłyszeliśmy pod batutą prof T. Czerniawskiego Palestriny „O Domine”, Moniuszki-Maszyńskiego „Ojcze nasz”, Rikovskiego „Gloria” z mszy op. 20. Nowsze te utwory kościelne na chór wytrzymują przecież porównanie z gregorjańskiemi dzięki swym wybitnym zaletom artystycznego ładu i ekonomji oraz nastrojowi patetycznej, ale nieprzesadnej podniosłości. Dyrygent umiał to wszystko należycie uwydatnić.

W dalszym ciągu popisu zwrócić należy uwagę na klasę kompozycji pod dyrekcją p. dyr. Adama Wieniawskiego. Słusznie p. dyrektor przywiązuje do niej wagę; jakkolwiek genjusza muzycznego wyhodować nie można, ale można podnosić poziom kultury muzycznej w społeczeństwie, szkoląc młode talenty kompozytorskie, których ambicje w miarę otrzymanej wiedzy i wpojonych zasad będą większe i szlachetniejsze od ambicyj różnych domorosłych kompozytorów, zwłaszcza lekkiej muzyczki, którzy tak haniebnie zabagnili nam stosunki muzyczne. Dyrektor Wieniawski ma prawo być dumny ze swych młodych kompozytorów. Z tego, co słyszeliśmy, a niestety nie udało nam się być na I-szym popisie, widać, że zdają sobie oni sprawę z techniki kompozycyjnej, że rozumieją co to znaczy temat, że mają wyczucie nietylko nowej melodji, ale właściwości architektury utworu, w którym chcą ją wyrazić. Ujawnił to zarówno p. Arno Knapp w swej Sonatinie, jak i p. Adelina Preyssówna w kwartecie smyczkowym (Arja i Gigue). W Sonatinie przejawił nam się w nastroju opanowany zresztą i dyskretny sentymentalizm, w zakresie techniki prawidłowa harmonizacja, zdolność rozwijania, przeprowadzania i wiązania motywów. W kwartecie zetknęliśmy się natomiast z indywidualnością twórczą bardziej namiętną, lubującą się w efektach nieco jaskrawych i silnych. Niemniej przecież techniczne opanowanie zadania pozwoliło nam się pogodzić z koncepcją kompozytorki.

Przejdźmy teraz do dalszych części programu. Ich clou to bodaj śpiew solowy p. J. Niemyskiej. Jakąż wspaniałą ewolucję odbyła ta utalentowana śpiewaczka i to w ciągu, powiedzmy roku! Jakie bogactwo możliwości kryje jej arcymelodyjny, ciepły głos? Jakie wystudjowanie i finezja fraz? Jaka śmiałość w koloraturze? Oczywiście to i owo (w imię surowości zapiętego po uszy krytyka) możnaby podkreślić z małem zastrzeżeniem i zaznaczyć

wszystkie niebezpieczeństwa tej brawury, z jaką atakuje melodje, ale co tu dużo mówić wobec takiego wdzięku i wrodzonego daru pieśni, jaki wyróżnia p. Niemyską. W Cavatinie z „Łucji z Lammermooru” pokazała nam całe bogactwo i umiejętność techniki, w arji „Zamarłe miasto” wrażliwość i szczery, głęboko wzruszający liryzm.

Z klasy fortepianowej usłyszeliśmy Appassionatę Beethovena w doskonale wyczuwającej jej walory interpretacji M. Karówny. Pozatem Etiudę i Balladę As-dur Chopina przez R. Denównę, która znalazła świetną okazję do zabłyśnięcia wyrobioną techniką palcową, siłą i pewnością uderzenia. Na zakończenie zaprezentował się nam p. J. Bogusławski, skrzypek, zrośnięty ze swym instrumentem, znający jego walory, dobrze interpretujący Pugnaniego i Novacka.

## PREMJERY.

Na letni sezon doskonałe wyrównanie repertuaru stanowi zagrana w teatrze Polskim „Awantura o Jolantę”, beztroska historyjka o świni, zajętej za podatki, kończąca się państwowotwórczym morałem, że zawsze lepiej mieć czyste sumienie. Świetna gra zespołu z Samborskim, Daczyńskim, Fabisiakiem, Eichlerówną i Żabczyńską na czele, elektryzuje tę błahostkę i bawi do rozpuku publiczność.

Wyrafinowaną robotę literacką i wyrafinowany temat pokazał nam Kameralny, wznawiając „Kochanków” Grubińskiego. Sztuka ma swe niebezpieczne skręty i trzeba dużo dobrej woli, by nie wywalić na nich całej ekipy.

Aktualnością tchnie węgierska sztuka wystawiona w Letnim „Zwyciężyłem kryzys”. Zdrowy optymizm z humorem rozstrzygający najtrudniejsze problemy cechuje tę zabawną historyjkę.

## POLSKA RACJA A MISJE.

W wielkiem apostolskiem zadaniu Kościoła katolickiego jedno z pierwszych miejsc zajmują misje w krajach pogańskich. Do tego wielkiego dzieła powołuje Kościół wszystkich katolików całego świata. Nie wszyscy jednak biorą w niem udział w stopniu odpowiadającym ich miejscu w gronie narodów świata. Nie ulegać się wydaje wątpliwości, że w dziele misyjnem, zwłaszcza gdy chodzi o liczbę pracowników na tem polu, rozproszonych po najbardziej egzotycznych zakątkach kuli ziemskiej wśród wszelkich ras i klimatów, pierwsze miejsce zajmują Francuzi, tak jest, przedstawiciele tego narodu, który szczyci się swym liberalizmem i indyferentyzmem, ale który, jak zauważył Ch. Pegny, miły jest Panu Bogu, gdyż obok wad ma wielkie cnoty. Jeśli znów chodzi o wielkość ofiar pieniężnych, to pierwsze miejsce należy się Ameryce katolickiej części tej Ameryki, która w opinji świata uchodzi za ojczyznę materjalizmu, egoizmu i praktyczności.

Takie są paradoksy katolickiego dzieła misyjnego. Do ich liczby zaliczyć też można fakty takie, że np. protestancka Holandja czy Belgja mają wcale ładną kartę w dziejach apostolstwa wśród pogan. Włochy zaś współczesne z woli Mussoliniego wstawiają do budżetu 5 miljonów na misje zagraniczne.

A my, Polacy, przedmurze chrześcijaństwa ongiś, my, którzyśmy potrafili wysyłać w czasach pierwszego apostolstwa Chin swoich przedstawicieli, naród, którego kapłani po roku 1863 zasiali ziemie dalekiej Syberji swą krwią i kośćmi, jakaż jest nasza rola, jakież miejsce wśród misjonarzy świata?

250 pracowników na niwie misyjnej to nie jest jednak zbyt wiele. Oczywista rzecz, na ten stan rzeczy złożyły się te same przyczyny, które wogóle opóźniły rozwój kulturalny i społeczny naszego narodu — niewola ogólne ich imię! Dziś jednak w państwie niepodległem, w społeczeństwie organizującem się na stopie pełnego życia, na stopie równej wszystkim kulturalnym i przodującym narodom, dzieło misyjne musi stworzyć też właściwą i większą pozycję.

Nie mówiąc już o czysto apostolskim obowiązku, jaki na tak powszechnie katolickiem społeczeństwie ciąży, chcę zwrócić uwagę na poważne znaczenie udziału w pracy misyjnej dla prestiżu i dla polityki mocarstwowej naszego państwa.

U nas, w kraju, który zastanawia się nad sprawą polityki populacyjnej, nad szczupłością swych granic wobec tempa przyrostu naturalnego, dzieło misyjne to nietylko pretekst, ale to realny motyw pracy nad stworzeniem ujścia w świat dla nadmiaru ludzi. I to nietylko pracowników w sukniach kapłańskich. Obecność misjonarza-Polaka, tak samo jak Francuza czy Niemca na jakimś terenie pociąga automatycznie pewną ingerencję narodu, którego jest przedstawicielem. Praca misjonarza jest nawet bez jego zamiaru i bez wysługiwania się „interesom tego świata” forpocztą ekspansji kulturalnej i ekonomicznej jego macierzystego kraju. Misjonarz jest pionierem, za którym idzie kupiec, inżynier, osadnik. Tak było i tak będzie. Po szlakach misyjnych idzie kultura europejska, kultura, ściślej biorąc, tego narodu, który na danym terenie misyjnym pracuje. Jeśli w Afryce czy w Ameryce murzyni uczą się dziś kolęd polskich, to fakt ten może wyglądać dla jednych groteskowo, dla ludzi jednak myślących jest podstawą do bardzo ciekawych kalkulacyj. Bo przecież te miljony murzynów, mówiących po angielsku, ci Senegalczycy-Francuzi z kultury i t. d. to są prawdziwe zdobycze moralne i materjalne Anglji i Francji. Jeden murzyn mówiący po polsku, to jest humoreska, ale miljon murzynów, to jest już kwestja międzynarodowa, to jest już argument dla polskiej polityki kolonjalnej. Dlatego dzieło misyjne mieści się także w ramach polskiej racji stanu, która przecież umiała wygrać wielką sprawę unji z nawróconą Litwą i Żmudzią.

Na misjach, jak słusznie zauważył arcybiskup Nowowiejski, jest miejsce dla tysięcy Polaków.

Dlatego jest rzeczą ważną propagowanie misyj i dlatego bardzo w porę bierze się do dzieła Związek prelegentów misyjnych, działający pod przewodnictwem ks. prałata de Ville. Pracę tego Związku winniśmy popierać ze wszystkich sił, jako Polacy, którzy z tego, że są katolikami, umieli zrobić już nieraz w dziejach program swej polityki, program życia.

---

Dokończenie art.: **„Potrzeby stolicy”.**

kiera tnie w pień stuletnie drzewa Frascati, park szpitala Ujazdowskiego także czeka nie lepszy los. Wzamian wyrastają parszywe warszawskie kamienice, budowane w stylu „takim sobie”, jak powiada ks. Pirożyński. Brzegi zamulonej Wisły (mostów łamiących nurt przybywa, ale rzeki się nie reguluje) — wszędzie na świecie są to salony miasta — u nas pożałowania godne śmietnisko, gdzie wedrzeć się z jakiejkolwiekbądź strony jest prawdziwym heroizmem, równym wyprawie na Saharę. Hula tam wiatr, zamiatając tumany kurzu i tłuką się bezpańskie psy i bezdomni. Miasto rozbudowywuje się, to prawda — z dziwnym uporem ludzie chcą mieszkać w domach, a nie w lepiankach. Lecz magistrat, dzięki brakowi ustawy o przymusie kanalizacyjnym, „nie jest w stanie” zapewnić rozporaz wody. Całe dzielnice, jak doniedawna Mokotów, miały otwarte ścieki. Do całych dzielnic, jak np. Żoliborza czy Woli, jedna mniejsza burza może radykalnie odciąć komunikację, zalewając na parę metrów wodą jedyny szlak, wiążący je z miastem. Raz jest więc za dużo wody, drugi raz za mało wody. A warszawianie płacą podatki. Na Żoliborzu wystawiono ekspozycję wzorową „Taniego domu” Okazuje się, że gdy metr terenu pod dom kosztuje 2 zł, metr kanalizacji aż 3 złote, bo miastu taniej się nie opłaca uszczęśliwiać swych obywateli taniemi domami. Tak więc miał rację ten, który mówił, że Warszawa ma wszystko „naj”: największe podatki i najmniejsze wygody urbanistyczne, najniedołężniejszy magistrat i najpotulniejszych mieszczuchów i dlatego jest najzabawniejszem miastem na świecie.

**St. Radost.**

# O DOBREM WYCHOWANIU

(Ciąg dalszy).

Witając się z człowiekiem dobrze wychowanym wiem, że naprzód zapyta mię o zdrowie moje i mojej rodziny, nie będzie zaś opowiadał o swoich kłopotach i odciskach, chyba zapytany o to. Zaczynanie wogóle rozmowy o sobie, a jeszcze gorzej — uparte trzymanie się tego tematu — jest znamieniem skrajnego samouwielbienia i niedelikatności, znowuż z wyjątkiem, gdy się jest o to specjalnie pytanym.

Człowiek dobrze wychowany wogóle mało i rzadko mówi o osobach. Mówi o rzeczach, ideach, wypadkach, tematach ogólnych, wreszcie okaże zainteresowanie rozmówcą, a dopiero, gdy ten, odwzajemniając się, wykaże zainteresowanie tamtym, wówczas będzie czas mówić o sobie.

Mówienie o osobach, o znajomych i nieznajomych prowadzi tylko do plotek, insynuacyj, podejrzeń często kalumnij i oszczerstw. A to przecież jest ohyda i przynosi nieskończone szkody życiu towarzyskiemu, społecznemu, ba, politycznemu. Trzeba przytem pamiętać, że człowiek wygłaszający apodyktyczne sądy o innych demaskuje się, więcej charakteryzując siebie, niż omawianego. Dlaczego? Dlatego, że sądzimy zwykle bardzo subjektywnie, jak się to mówi — po sobie — a potem dlatego, że żaden człowiek nie jest tak doskonałym, by wiedział o bliźnim wszystko. A nie można wydać rozsądnej opinji o kimś, kogo się nie zna zupełnie i całkowicie. Człowiek więc sądzi tak, jak się ktoś wydaje jemu, czyli, że wypowiada raczej siebie.

Odstręczające też jest zjawisko, gdy ktoś wykazuje w słowie absolutną pewność siebie, bo tej pewności nikt nigdy w istocie nie ma. Dobrze wychowany człowiek, choćby przez wzgląd, by nie urazić rozmówcy czy towarzystwa, zawsze doda do swojej opinji: — „zdaje mi się", albo „mam wrażenie", albo „o ile mi wiadomo", lub wreszcie „według wszelkich danych, jakie posiadam".

Ludzie zbyt pochopnie wygłaszający swoją opinję o jakiejś osobie często narażają się na fatalne przykrości, bo słuchaczem może być albo bliski kuzyn omawianego, albo przyjaciel. Inaczej jest, gdy się mówi o sprawach ogólnych. Wówczas najśmielsze zdanie nie może być brane za złe, bo ono jest wyrazem poglądów, przekonań czy zasad.

Gdy się jest w gronie znajomych — dyskusja oczywiście musi mieć zupełną wolność. Ale, gdy się z kimś rozmawia w miejscu publicznem, w tramwaju, w muzeum, w foyer teatru, w kinematografie — wówczas człowiek dobrze wychowany nigdy nie wygłasza zdań ostrych głośno, dlatego, że, mówiąc na cały głos, a w dodatku zdanie bardzo indywidualne, zadaje gwałt obcym ludziom, zmuszając ich do wysłuchania cudzej rozmowy wbrew ich woli, a nieraz słuchania opinij, które się tamtym wydać mogą bredniami. Przytem mało jest ludzi mówiących ładnie, mających piękną dykcję i tembr głosu. Mówienie więc zbyt głośne, do galerji, sprawia często ludziom przykrość i formą i treścią i natężeniem głosu. Mówmy lepiej tylko do tych, którzy chcą nas słuchać.

Wogóle mówienie zbyt głośne jest bardzo niemiłe. Miarkowanie głosu jest znakiem pewnej subtelności. Głos podniesiony wnosi hałas, denerwuje i zawsze ma cechę bądź kłótliwości, bądź gminnych przyzwyczajeń. Przecież, biorąc rzecz z krańców, szeptem mówi się słowa miłości, krzykiem — przekleństwa.

Gadatliwość nie jest też cechą dobrego wychowania. Kto dużo gada, napewno mówi głupstwa, a w najlepszym razie — rzeczy bez znaczenia.

Prowadzenie dyskusji i sporów jest wielką sztuką i mało kto ją posiada. By dyskutować prawidłowo, należy mieć tresurę logicznego myślenia a nawet wykształcenie filozoficzne, które jest niezbędne nawet w życiu codziennem. Ale kardynalne zasady prowadzenia rozmowy dyskusyjnej są dostępne dla wszystkich.

Naprzód zaznaczyć wypada, że nagminną wadą jest nieumiejętność słuchania. Przecież, jeżeli mam komuś inteligentnie odpowiedzieć, muszę przedewszystkiem cierpliwie wysłuchać, co mój rozmówca mówi. Są coprawda takie gaduły, które nigdy nie kończą, ale tem gorzej dla nich. Gdy się zmęczą, można ich wówczas położyć na obydwie łopatki jednem zdaniem, uderzającem w najsłabszy punkt tego, co — mówiąc wiele — nakłamali. Nie naśladujmy ich jednak i, gdy oni mówią, koncentrujmy się do ciosu. Niczem tak sobie nie zyskujemy ludzi, jak cierpliwem wysłuchaniem ich mówienia. Przerywanie i zakrzykiwanie przeciwnika jest zdecydowanym dowodem złego wychowania.

A pamiętajmy o tem, że człowiek, unoszący się w dyskusji, jest przeciwnikiem słabym, często broni złej sprawy i dlatego się irytuje, a jeżeli broni wypadkiem dobrej, to dowodzi, że jest nieopanowany. Człowiek spokojny wygrywa zawsze. Wogóle — spokój i opanowanie — to niezmiernie silna broń w życiu.

Powyższe odnosi się do rozmów dyskusyjnych. Ale potocznie, w rozmowie towarzyskiej — dyskusyj zasadniczych się nie prowadzi. Łatwość lekkiej potocznej rozmowy znamionuje zawsze ludzi dobrze wychowanych i swobodnych w towarzystwie. Oczywiście miło jest, gdy się jest i dowcipnym w rozmowie. Ale ten dar jest rzadki.

Okropną wadą jest śmianie się z własnych dowcipów. Człowiek naprawdę dowcipny nigdy się ze słów swoich nie śmieje, a w każdym razie nie pierwszy, bo to zupełnie chybia celu rozśmieszenia innych.

Niektórym ludziom wydaje się, że za dowcipnego uchodzić może ten, kto zna i opowiada anegdoty. Owszem, anegdota opowiedziana dobrze, bywa zabawna, ale o tyle tylko, o ile jest przytoczona à propos rozmowy. Człowiek, wyskakujący ni stąd ni zowąd z anegdotą, bywa często raczej niemiły.

Są też tematy, które nie nadają się do dyskusji przy byle okazji, gdy się jest w towarzystwie mało znanem. Tematy religijne, a nawet polityczne, poruszane w sposób jaskrawy wśród mniej znanych osób, łatwo mogą zamienić atmosferę towarzyską na wrogą i odpychającą.

Różnica między człowiekiem mądrym a głupim jest ta, że głupi mówi wszystko, co mu nieskontrolowana myśl na język przyniesie, a mądry myśli o tem, co ma powiedzieć. Ileż to razy w rozmowie ludzie nieopatrzni, a, powiedzmy prościej, źle wychowani, popełniają tak zwane z francuska „gafy", albo po łacinie — lapsus linguae w szerszem znaczeniu tego wyrazu, to znaczy nieoględnie wypowiedzą coś, co należało zmilczeć. Pochodzi to znów stąd, że mówiący nie zorjentował się wprzód do kogo mówi. Dlatego też ludzie dobrze wychowani, znalazłszy się w towarzystwie mało sobie znanem, lub rozmawiając z kimś po raz pierwszy, naprzód prowadzą rozmowę o rzeczach obojętnych, a stopniowy z rozmowy dopiero wnioskują, z kim „mają przyjemność" i wówczas „gafy" nie popełnią. A trzeba już wielkiego dowcipu, by się z niej wygrzebać. Najgorszym systemem będzie oczywiście tłumaczenie się.

Są ludzie, którzy mają szczególniejszą manję: zagadywania bez potrzeby ludzi obcych, przygodnych. Inna jest rzecz zapytać przechodnia lub sąsiada w tramwaju, czy na jakiemś publicznem zebraniu o informację. To rzecz zwykła, o ile jest zrobiona w formie grzecznej. Ale są tacy, którzy ni stąd ni zowąd zaczynają z nieznajomym rozmowę: w wagonie, przy okienku kasowem, na wyścigach, w omnibusie, poprostu na ulicy, a jeszcze zadają pytania, nieraz niedyskretne. Ten zwyczaj jest nieznośny.

**(Ciąg dalszy nastąpi).**

# NA MARGINESIE SZTUKI WACŁAWA GRUBIŃSKIEGO*)

## TANIEC CZY PROCESJA ŻAŁOBNA?

Znakomity nowelista i komedjopisarz ogłosił swą nową sztukę drukiem, nim ujrzeliśmy ją na deskach teatru. Jest rzeczą trudną i niezwykłą mówić o walorach sztuki, nieoglądanej na scenie. „Taniec" w wydaniu książkowem może nosić zupełnie inne oblicze, niż w „wydaniu widowiskowem", t. j. na scenie, gdzie też niewątpliwie w najbliższym czasie danem go będzie nam ujrzeć. Sztuka, czytana w wydaniu książkowem może się wydawać zupełnie inną niż na scenie, gdzie prócz autora mają przecież wiele do powiedzenia reżyser, aktor, dekorator, widz oraz cały szereg innych czynników, składających się na całokształt widowiska i nadających utworowi ten lub inny wyraz i sens. Jednakże niepodobna nie nadmienić już na wstępie, iż nowa sztuka świetnego znawcy teatru w niczem nie ustępuje najlepszym wzorom tego rodzaju utworów, produkowanych zagranicą. Stwierdzanie jeszcze raz faktu, iż Grubiński jest obecnie może jedynym i bezsprzecznie najzdolniejszym w Polsce twórcą tego typu sztuk, byłoby wyważaniem otwartych drzwi. Niezwykła finezja, naturalna swoboda, pewna niedbała a urocza nonszalancja; silne wiązadła sztuki, budowa akcji oparta na oryginalnych założeniach; wreszcie świeżość, przecudowny styl, porywająca forma i nuta prawdziwej poezji — oto nikła część zalet, o których wiele razy mówiło się z okazji dotychczasowej twórczości Grubińskiego, a które, podniesione do dziesiątej potęgi, teraz możnaby wymienić.

W książce tej są jednak motywy, które już teraz wydawać się mogą prawie niepokojącemi. Oto w sztuce swej Grubiński przedstawił nam świat wielkiej finansjery. Załatwmy tę sprawę krótko: dwu możnych bankierów, co już przekroczyli sześćdziesiątkę, lecz wciąż są „w formie" zalecania się do młodych dziewcząt, z których jedna jest siedemnastolatką, druga zaś o rok od niej starszą. Z jednej strony młodość, naiwność, niewinność i ślepa ufność, i wiara we wszystko, co dobre i piękne — z drugiej: perfidja, podstęp, zepsucie, moralna zgnilizna, co najgorsze: wiara we wszechwładną potęgę pieniądza. Ci dwaj panowie bankierzy — dwaj ludzie, których życie wypełnia pieniądz — właściwie nie posiadają nic! Ani rodziny, ani bliskich, ani przyjaciół — ich atutem, ich sensem i racją bytu, jest pieniądz! I dlatego nawet we wzajemnych ze sobą stosunkach, pomimo pozornej przyjaźni, nie zawsze potrafią zachować się szczerze i życzliwie. Grubiński napisał „komedję o radosnym tańcu młodości wśród niebezpieczeństw życia, (jak sam powiada), lecz momentami wątpliwości miałem, czy tego rodzaju taniec jest szczerym, czy nie tańczą go kontra



*Wacław Grubiński*

świetny dramaturg i najznakomitszy stylista polski, autor wielu utworów scenicznych, nowel, powieści i wnikliwych studjów literackich, m. in.: „Człowiek z klarnetem", „Niewinna grzesznica", „Księżniczka żydowska", „Piękna Helena", „Kochankowie", „Na rubieży", „Zabawa", „Baal", „Uczta Baltazara", „Lenin". „Lwy i święty Grojosnaw", „W moim konfesjonale", Pijani" itd.

muzyce — kontra tej muzyce, która jest hymnem pochwalnym na cześć wiecznych, nieprzemijających i prawdziwie jasnych wartości ludzkiego życia. Grubińskiemu możemy być wdzięczni za to, że nam przypomina o istnieniu tego rodzaju typów — możnaby jednak żałować, że ci ludzie będą gnić nadal i swą zgnilizną moralną zatruwać atmosferę, wśród której odbywać się właśnie ma taniec młodości — radosny taniec młodości. Ale Grubiński napisał wesołą sztukę — Grubiński poprostu pewnych rzeczy nie dopowiedział (myślę, że tak nawet lepiej jest i że tego sobie życzył świetny komedjopisarz) — jednakże taniec będzie cieszyć tylko nasze oczy, serca będą drżeć niepokojem, — przykrym niepokojem. Niespokojni czytamy ostatnie sceny fascynującej sztuki (i niezmiernie zajmującej książki) — bowiem wciąż wydaje się nam, że muzyka, radośnie brzmiąca, naraz przemieni się w smutny marsz żałobny. W ostatniej scenie autor każe tańczyć wszystkim — lowelasom, dziewczętom i „ludziom jutra", t. j. tym, którzy czarem prawdziwej młodości, szczerością intencyj i prostotą, zdobyli serduszka dwu młodych kobietek. (Tak. Właśnie: kobietek).

Prawdopodobnie na scenie ten wesoły i przemiły „żart sceniczny" Grubińskiego również zabawi widownię. Ale zaręczam, że ani czytając, ani oglądając to na scenie, nie potrafię oprzeć się uczuciu przerażenia — bowiem — (przebacz mi, mistrzu dialogu scenicznego, i najmilszy wśród najmilszych autorze „Kochanków", „Niewinnej grzesznicy" i wielu, wielu innych, świetnych utworów scenicznych) — taki taniec jest czemś makabrycznem. Doprawdy, tu już lada chwilę zabrzmieć może żałobny marsz. Doprawdy od tego tańca tylko jeden krok do żałobnej procesji. Mały, bardzo mały krok... I to, obok wielu innych, jest wielką zasługą Wacława Grubińskiego — to, że nam ułatwił nabycie pewności o istnieniu czegoś krótkotrwałego a wiecznego zarazem, nieskończenie bliskiego, co taniec samolubstwa, zgnilizny i perfidji, popartych pieniądzem, momentalnie w procesję żałobną przemienić potrafi. Nawet wtedy, gdy nieświadoma młodość w tym pochodzie udział brać będzie...

Świat samolubstwa, zgnilizny moralnej i legalnej depprawacji istnieje — o tem świadczą codzienne, brukowe sensacje dziennikarskie, o tem świadczą przewody sądowe, wreszcie to, że są ludzie, którzy z tem walczą.

**Stanisław Brochwicz.**

*) (WACŁAW GRUBIŃSKI. — Taniec. Sztuka w 3 aktach. Str. 174. Nakładem księgarni F. Hoesicka — Warszawa 1934).

DON JOSE ST. NOARRO. 18)

# ZDOBYWCA AFRYKI

— Ale nie przez pojedynek.

— Nic strasznego. Pojedynku wcale nie będzie. Zrobimy tylko odpowiednią demonstrację. Jest to niezbędne.

— To bezcelowe.

— Przeciwnie. Ten bałwan, ta kukła Pęcherz jest narzędziem nędznej zgrai szantażystów. Musimy zniszczyć ją, zanim przystąpimy do rozprawy z całą bandą.

— W takim razie Pęcherz zasługuje raczej na litość. Widać, nie wiedział, co robi.

— To szczwany lis. Zarobił grubszą forsę, a jednocześnie załatwił generalnie swe porachunki z doktorem. Przyznaj doktorze, że miał po temu okazję.

— Zapewne. W swoim czasie postarałem się zlikwidować tę antypatyczną kreaturę z terenu pewnej ideowej organizacji.

— Wiem, wiem.

— Ale to, widzę, nie pomogło. Wlazł do partji rządzącej. To mnie odstręczyło od was i musiałem potraktować odmownie pańską propozycję.

— Pęcherz miał wysoką protekcję. Wsadził go do nas bankier Goldstein.

— Co pan mówi? Goldstein. Teraz rozumiem. Ach te przeklęte Żydy. Gdzie ich niema? Action française zgubiły też różne Klumpfisze, Krauskopfy i inne jawno- i krypto-Żydy.

— I mnie się to u nas zaczęło niepodobać. Dlatego podaję doktorowi rękę do pomocy, by przy okazji oczyścić atmosferę w partji.

Stefan pomyślał.

— Więc ten jego zapał dla mej sprawy także ma pobudki. Nic na świecie niema bezinteresownego.

— Niech doktór mi ufa. Zrobi się wszystko dobrze. I doprawdy zachowam jeszcze wdzięczność dla doktora, że mi nie odmówił. Bo to już tak jest, że życie prywatne ludzi dzierżących pewną odpowiedzialność za sprawy tego świata najściślej łączy się z publicznem. Przekonał się doktór sam po tym paszkwiliście, który aż suknie od „Hersego" do akcji przeciw panu zmobilizował. Mówił Ligęza, a w jego głosie zagrzmiało szyderstwo.

— Ja mu tego nie daruję — oburzył się Stefan na wspomnienie niedawnej obelgi.

— No, więc chyba się porozumiemy.

— Panie Ligęza, zgoda. Więc jaki pan ma plan?

— Wyzwiemy na pojedynek Pęcherza.

— A jeśli przyjmie pojedynek?

— Nie, nie przyjmie; ta kanalja jest tchórzliwa do obrzydliwości.

— Więc co dalej?

— Zaczną się pertraktacje. Zmusimy go do odwołania obelgi. Postawimy surowe warunki. Ostatecznie sprawa będzie musiała się oprzeć przed sądem marszałkowskim. No i tu biedaczek wpadnie ostatecznie. Doprowadzimy go do bezwzględnej kompromitacji i złożenia mandatu.

— Ależ to wszystko bardzo długa i skomplikowana droga.

— Przeciwnie. Jest to jedyna, najpewniejsza. Mieliśmy już tego przykłady.

— No, niebardzo. Kruk krukowi oka nie wykole.

— Innej drogi niema.

— Więc niema drogi do sprawiedliwości? Niema kary na ludzi występnych i podłych?

— Występek w polityce jest cnotą, bo i polityka jest fałszywą grą.

— Ja tego pojąć nie mogę.

— Tu niema nic do pojmowania. To trzeba praktykować. Doktorze miękkiście jak wosk. Do niczego taka robota.

— Ale, co robić, co robić?

— To co robią wszyscy w podobnych okolicznościach, a opinja będzie za wami. Zamkniemy usta i paszkwilanckim gazetom. Wszyscy uchylą czoła. Taka jest potęga uświęconego obyczaju. Narzekanie — to głupstwo, grób własnemi rękami kopany.

— Ligęza, rób pan co uważasz za stosowne! W tej chwili nie czuję się zdolny do żadnej inicjatywy. Tylko unikaj ostateczności... Nie chcę pojedynku.

Przypadek — ten najbardziej pomysłowy reżyser życia ludzkiego, znakomicie uprościł sprawę.

Żarnicki stosował radę Ligęzy, który zalecił pewne afiszowanie się w celu zaznaczenia opinji publicznej, że paszkwil w niczem nie zmienił jego pozycji moralnej; udał się na wernisaż do Zachęty — trzeba, żeby ludzie go widzieli. Lekko obandażowana głowa doda mu pożądanego uroku romantycznego. „W oczach kobiet, zwłaszcza, które robią opinję, niczego nie należy zaniedbywać".

Los chciał, że na schodach Zachęty zetknął się oko w oko z Pęcherzem. Spojrzał w tę wymokłą, obleśną twarz i porwała go pasja, chciał się rzucić ku oszczercy, bić, skuć pięściami tę ohydną gębę, wtłoczyć mu do gardła potwarczy język.

Ligęza, który szedł obok doktora, pohamował go jednak.

— Doktorze, tylko spokojnie. Stefan, trzęsąc się ze wzruszenia, powstrzymał swój zapał. Nic już jednak nie zatamowało groźnych słów, które z krzykiem pomieszane wyrwały się mu z piersi.

— Ohydny potwarco! Tchórzu, który nędznym podstępem napadasz na dobrą sławę. Kreatura o haniebnej przeszłości. Choćby się pan zasłaniał płaszczem nietykalności poselskiej, dotknie cię niedługo ramię sprawiedliwości. Kalasz pan godność poselską.

Tym grzmiącym, podniesionym głosem wyrzucanym słowom towarzyszyła głucha cisza zgromadzonego towarzystwa. Ministrowie, dyplomaci, politycy, dziennikarze, śmietanka świata arystokracji i plutokracji — było to odpowiednie tło dla takiej demonstracji.

Ligęza uważał za stosowne interwenjować.

— Państwo wybaczą to wystąpienie memu przyjacielowi. Ale działał on pod wrażeniem głębokiej krzywdy, a stan jego zdrowia spowodował silne rozdrażnienie.

Pęcherza otoczyło paru osobników, którzy, perswadując mu coś, wyprowadzili z gmachu Zachęty.

Stefan tymczasem ulokował się przy pomocy Ligęzy na ławce i usiłował opanować swe podniecenie.

Wtem uczynił się rumor koło ławki. Szybkim, sprężystym krokiem szedł w jej stronę premjer. Uprzedził go adjutant, który, zwracając się do Żarnickiego, rzekł.

— Panie doktorze. Prezes ministrów pragnie z panem pomówić.

Żarnicki osłupiał, nie wiedząc co robić, czy mówić, czy milczeć? Nazbyt wiele wrażeń na jego skołataną głowę. Ligęza natomiast znalazł się na wysokości obowiązków chwili, myśli za przyjaciela. Podnosi go krzepkiem ramieniem, zwraca gdzie trzeba, nieomal przygina mu nieco karku do ceremonjalnego ukłonu, prawie za niego wyciąga rękę do niezbędnego uścisku dłoni.

Jakoś się wszystko odbyło, trochę niezręcznie, z żenadą, płochliwie. Wyrównał to uprzejmy, łagodnie modulowany głos premjera.

— Zakomunikowano mi o przyczynach, dla których musiał pan sobie zakłócić przyjemność oglądania tej wystawy. Miał pan rację. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania z powodu niegodziwego nań zamachu. Uczynię wszystko dla odszukania i ukarania winnych.

— Panie premjerze. Ten zaszczyt niezasłużony doprawdy, ja nic takiego... najmocniej przepraszam... całkiem niepotrzebna ta cała awantura.

— Co ty gadasz? — szepcze Ligęza.

Ale premjer uśmiecha się przyjaźnie. Rozumie wszystko, czuje człowieka przez gęstwę zakłopotanych słów.

— Głupstwo. Zapomnieliśmy a zarazem pamiętamy. Rekwiruję pana do mego orszaku. No i liczę, że dzisiejszą rozmowę poczyta mi pan za wizytę, oczekuję więc z niecierpliwością rewizyty, w ministerstwie pogadamy sobie o pańskich projektach. Jestem ich bardzo ciekawy. Lubię romantyków w wielkim stylu.

— Cieszę się — szepce Żarnicki i nie może wybrnąć poza te dwa słowa.

— Z czego ty się cieszysz — koryguje oficjalność rozmowy Ligęza.

— Porozumiemy się i porozumiemy łatwo — uśmiecha się premjer. I ja nie lubię zbędnych słów. Ściska rękę Żarnickiego i z wesołym uśmiechem na marsowej twarzy zwraca się do obecnych, mówiąc:

— Dzisiejszy wernisaż przejdzie do historji. Nagle ta dzielna twarz zamroczyła się, premjer nerwowo przygryza wąsy.

Ludzie spoglądają po sobie. I myśl niejednego biegnie z przerażeniem do wspomnień innego tragicznego wernisażu, nad którym historja kamień żałobny wzniosła.

Życie narodu i życie człowieka ma przedziwny rytm. Fala idąca ku tym samym brzegom, niejednakowe niesie dary. Jedne naznaczane są przekleństwem szaleństwa czy głupstwa, inne przychodzą z ziemi błogosławionej.

## XXII.

Marysia siedziała bez ruchu w chaosie myśli, poddana najsprzeczniejszym uczuciom. Jej Stef tam cierpi... Z jakąż tkliwością pieściła w myśli jego głowę.

Błyskawicą przebiegły przez jej umysł wspomnienia tego okresu życia, który oficjalnie dla świata nosił nazwę małżeństwa ze Stefem, a który składał się z dwu różnych epok miłości i niechęci. Niewątpliwie małżeństwo jej ze Stefem było dziełem miłości. Niestety, brutalne życie stłumiło jej płomień.

Przed ludźmi jednak nadal uchodzili za szczęśliwe stadło. Marysię bolała ta rola kochającej i kochanej żony: fałszywa rola. Były chwile, że chciała krzyczeć z całej piersi: „Jest mi źle". Szczęście to kłamstwo. Czuła, że sprawiłoby to jej ulgę. Lecz konwenans, lęk przed opinją świata tłumił jej usta.

Tak trwało aż do chwili pojawienia się na widowni jej życia hrabiego. Otwarły się przed nią szerokie perspektywy wolnego, radosnego, pięknego swym rozmachem życia. I poczuła niechęć, wprost nienawiść do człowieka, który przykuł ją do siebie.

Nie miała odwagi wystąpić jawnie do walki o przeczuwane nowe swe szczęście. I ten stan beznadziejnej bezsilności najwięcej zaostrzył jej gniew na Stefa.

Czuła się niewolnicą, uwięzioną, przykutą raz na zawsze do rydwanu jego życia, w jego triumfach i klęskach. A smak początkowych niepowodzeń wspólnego ich życia zatruł w niej wiarę w możliwość lepszej przyszłości. Wymagający moralista powiedziałby, że była małoduszną, oportunistyczną istotą, mierzącą wartość człowieka i życia ilością spożytych obiadów i rachunkami od krawca i szewca.

Skoro jednak człowiek musi jeść i ubierać się, by żyć — czyż właściwie ma kto prawo potępić ją, że pragnęła życia wystawnego, strojnego? Im bowiem lepiej się je, tem lepiej się żyje... jest to filozofja 99 proc. śmiertelników.

W warunkach ustawicznych prywacyj formuła egzystencji tak łatwo się wyjaskrawia i brzmi: poto żyjemy, by jeść i ubierać się.

Niewątpliwie więc jej myśl krążyła, jak sęp wokół swej ofiary, ustawicznie w kole tego samego zagadnienia — Stef jest winien jej zmarnowanego życia.

Coprawda, w ostatnich czasach sytuacja uległa korzystnej zmianie, po raz pierwszy hojnie zaopatrzył jej potrzeby. Nie umiała się jednak już cieszyć z tego promienia światła w jego ręku, ani umiała wykrzesać wiary w sercu przeżartem długotrwałym sceptycyzmem, niechęcią do nowej gwiazdy pomyślności jej męża. Zwłaszcza, że nad głową innego mężczyzny, który z miłosnym afektem wkroczył w jej życie, drżało słońce prawdziwego powodzenia. Należała do tych natur wrażliwych i wpływowych, którym mężczyzna musi imponować, by zdolne go były kochać.

Stef stracił w jej oczach autorytet triumfującej męskości; tylko jakiś fakt niezwykły, wstrząsający mógł zapalić tlejące pod popiołem rozczarowań iskry miłości. Małżeństwo — miłość oficjalna, zarejestrowana z przewidzianemi skutkami, z określonemi granicami obowiązków i uprawnień zabiło w niej poezję dziewczęcych uniesień. Stała się urzędniczką kiepsko prosperującego przedsiębiorstwa małżeńskiego, przyciśnięta nadmiarem obowiązków, przepracowana, przygnębiona pracą, trywialnością ustawicznego, psiego tańca za nieosiągalnym dobrobytem.

Prawda — w myśl przysięgi stała się legalną wspólniczką mężczyzny w zakresie praw do stołu i do łoża. Oburzało się w niej jednak wszystko na to, że stół bywał często licho zastawiony, a łoże ze zbyt długo niezmienianą pościelą odstręczałoby najbardziej łaknących snu i pieszczoty.

To było straszne, straszne...

Lecz to była przeszłość.

(Ciąg dalszy nastąpi).



# NA FALACH CZASU

Ostatnia sesja Ligi Narodów dała przejrzysty obraz polityki europejskiej we wszystkich jej słabych punktach, i w jej najsłabszej stronie: sprawie bezpieczeństwa przed wojną. Widać w tej kwestji odrazu jaki wpływ ma na stosunek do tej kwestji położenie i stanowisko danego kraju. Anglja izolowana na własnym „kontynencie", niebardzo się wczuwa w położenie Europy, a zwłaszcza Francji, i dlatego głosi hasło: najpierw rozbrojenie, a potem bezpieczeństwo, jako jego skutek. Wręcz odwrotnie Francja: jej położenie każe jej twierdzić, że najpierw bezpieczeństwo a potem rozbrojenie. Na tem tle toczy się już walka od chwili niemal podpisania Traktatu Wersalskiego. Anglja chytrze zaciera ślady swych dążeń, nobody know english policy, a Francja stara się ją demaskować „po przyjacielsku", tak, by Anglicy, chociaż zimni, a więc trudni do wyprowadzenia z równowagi, nie obrazili się. Tego rodzaju demaskacją było ostatnie wystąpienie Barthou w Genewie. Atak był śmiały, ale zręczny, godził bowiem tylko w pewne nastawienia angielskiej polityki, w pewne, głoszące je, osoby, ale pozostawiał rezerwę i wyrażał rewerans w stosunku do trzeźwiejszych i doświadczeńszych polityków. Słowem ganił ultra pacyfistę i pseudopatrjotę Mac-Donalda, ex-socjalistę konserwatyzującego, a schlebiał prawdziwym konserwatystom, którzy też przyjaźnie odpowiedzieli i zaczęli w swej prasie przepowiadać koniec Mac-Donalda i czas objęcia władzy przez torysów. Barthou zaatakował przedewszystkiem Simona, genewską tubę sonans albiońskiej polityki socjalistycznego chowu. — Polemizował więc z jego wywodami, że plan angielski jest jedynym planem konkretnym. Istnieje również plan włoski, a rząd francuski ze swej strony przedłożył w dniu 1 stycznia 1934 roku swe własne projekty.

Francja jest wierna swemu punktowi widzenia, który opiera się na pakcie Ligi i cz. 5 Traktatu Wersalskiego. Francja chętnie zgodziłaby się wstąpić na most, który pragnie przerzucić sir John Simon pomiędzy tezą Francji i Niemiec, ale pod warunkiem, by nie było na nim zasadzki i dziur grożących złamaniem nogi. Dnia 11 grudnia 1932 roku przyjęto zasadę równości praw w ramach ogólnego bezpieczeństwa. Co się stało z obietnicą bezpieczeństwa? Francja — oświadczył minister Barthou — przerwała swe rozmowy z Anglją na temat gwarancyj wykonania konwencji, gdyż w końcu marca Niemcy ogłosiły swój budżet, w którym, oprócz punktów utajonych i jeszcze tajemniczych, było wyznanie, że wydatki wojskowe, do których się Niemcy przyznają, zostają powiększone o 2.200 miljonów.

„Gdy Francja omawiała z Anglją szczegóły konwencji, Niemcy pośrednio oświadczyły: co znaczą wasze rozmowy, wasze gwarancje wykonania tej konwencji? Od 14 października, opuszczając Ligę Narodów, odzyskaliśmy swobodę i korzystamy z niej, tem gorzej dla was, którzy prowadzicie rokowania. Jesteśmy silni, dzięki naszej sile, naszej sile dozbrojenia, czyżbyśmy doszli, czyżbyście doszli panowie z Ligi Narodów, którzy reprezentujecie prawie cały świat, do tego, że jedno mocarstwo dzięki temu, iż opuściło nagle i brutalnie Konferencję Rozbrojeniową, może narzucić wam swą wolę? Co się tyczy mnie — nie zgadzam się na to".

Tak się przedstawiają małe kłopoty starej Europy. Wielkie jej kłopoty to fakt, że traci swą niezbyt zresztą długą hegemonję w świecie. Sprawę tę wyjaśniał prof. Siegfried na swym warszawskim odczycie.

Przedewszystkiem hegemonja Europy nie jest tak odwieczna, jak to się sądzi popularnie. Przecież jeszcze w pierwszych wiekach nowożytności niezależną Europą jest tylko Zachód. Hiszpanja dopiero stopniowo uwalnia się spod wpływu Maurów, a Turcja ciągle grozi sercu Europy. Przewaga naszego kontynentu właściwie datuje się dopiero od paru stuleci, a najpełniejszy swój wyraz osiągnęła w wieku XIX, aczkolwiek już wtedy usamodzielnił się kontynent amerykański.

Wiek XIX jest wiekiem przemysłu. Europa jest trustem mózgów i trustem kas. Europa swemi wynalazkami zdobywa świat i swojemi kapitałami zapewnia sobie olbrzymie zyski. Podnosi to jej stopę życiową. Europa żyje w stosunku do innych kontynentów tak, jakgdyby pan wobec swych sług i pracowników. Nie jest to bezpłodne, gdyż zorganizowanie zy-



*Z walk strajkowych w Chicago.*



*Wyładunek słonia w jednym z indyjskich portów.*

cia, pozwala Europie wytwarzać doniosłe wartości kulturalne. Tu kwitnie sztuka, tu triumfuje nauka.

Stopniowo sytuacja ulega zmianie. Europa przestaje być jedynem źródłem kapitałów i sił technicznych, a zarazem jej wielkokapitalistyczna, kontynentalna polityka przechodzi w autarkiczną politykę poszczególnych państw.

Pierwsze usamodzielniają się kolonje rasy białej. W XVIII w. Stany Zjednoczone zdobywają niepodległość, a na początku XIX wieku wyzwalają się z wpływu europejskiego kolonje Ameryki Południowej. Co więcej, Stany Zjednoczone stają się nietylko niezależne gospodarczo i politycznie, lecz także nowym ośrodkiem kultury o olbrzymim zasięgu. I podczas gdy postęp techniki europejskiej został skrępowany wewnętrznym europejskim protekcjonizmem, równocześnie Ameryka dźwiga swój potężny warsztat produkcyjny, oparty o rynek wewnętrzny całych Stanów Zjednoczonych. Tak więc pół kontynentu przeciwstawia się rozdrobnionemu kontynentowi Europy.

Że nie skończy się to dobrze, o ile Europa się nie skonsoliduje, to jest pewne. Tymczasem zaś Europa robi wszystko, aby się jeszcze osłabić w nowych wojnach.

Kończąca się fiaskiem konferencja genewska stawia pod znakiem zapytania pokój w Europie. Gdzie ten pokój jest najbardziej zagrożony? Na to pytanie dał odpowiedź min. Barthou, zanim jeszcze zdemaskował nieszczerą grę Anglji. W wywiadzie udzielonym znanemu dziennikarzowi Knickerbroockerowi na pytanie czy, kiedy i gdzie wybuchnie wojna, najpierw odpowiedział nie, a potem z determinacją stwierdził, że bodaj w tym roku i to w Austrji. Sytuacja Austrji jest tego rodzaju, jak w r. 1914. Lada iskra może wywołać pożar. Ostatnie wypadki potwierdzają opinje, czy powiedzmy delikatnie przeczucie Barthou. Serja zamachów i ataków sabotażowych, wywołanych przez hitlerowców w Austrji stanowi niebezpieczną przygrywkę do nieobliczalnych wypadków, które mogą potoczyć się jak lawina i zasypać świat cały. Jej ośrodkiem będzie Berlin, tak samo jak w r. 1914, jakkolwiek pozory prowokacji spadną na jakiegoś mimowolnego Strohmana, choćby miał się nim okazać sam kanclerz Dollfuss. Francja zdaje się dostrzegać już zupełnie realnie to niebezpieczeństwo. Walczy więc z jednej strony na płaszczyźnie genewskiej o jego zahamowanie choćby czasowe, a z drugiej szuka realnych rękojmi na wypadek wojny w postaci własnego dozbrojenia i zgrupowania dokoła siebie sprzymierzeńców. Marsz. Petain, widząc beznadziejność walki o zahamowanie zbrojeń niemieckich, gotów jest uznać, w ślad za Włochami, stan faktyczny, byle parlament francuski przyznał mu wszystkie potrzebne kredyty wojskowe. Zamiast się Niemcom sprzeciwiać, lepiej ich naśladować. Smutna to konkluzja, prowadząca wprost do wyścigu zbrojeń, a w dalszej perspektywie do wojny. Warto porównać obecną sytuację z sytuacją z przed wielkiej wojny. Wymownie odmalowuje ją b. ambasador francuski w Berlinie Jules Cambon. Odsłania on podstępną grę niemiecką, polegającą na gromadzeniu pozorów ich dobrej woli przy jednoczesnem podsycaniu niebezpiecznych dla pokoju nastrojów i gromadzeniu, krótko mówiąc, materjału wojennego. Propaganda niemiecka zawsze była robiona znakomicie, co odczuwaliśmy dotkliwie podczas wojny. Należy zresztą pamiętać, że już przed rokiem 1914 potrafiła ona przekonać wielką część opinji międzynarodowej o wyższości Niemców nad narodami, we wszystkich dziedzinach. Nie było to, rzecz prosta, zgodne z prawdą. Czyż bilans Anglji i Niemiec w okresie od 1805 do 1905 roku wykazuje jakąkolwiek wyższość Niemiec? Kanc. Hitler dowodzi, że niema zamiarów wojennych i tem oświadczeniem zjednał sobie część opinji francuskiej. Ale Niemcy i w roku 1910—1914 również „nie chciały wojny". Poprostu postępowały tak, że stała się ona nieuniknioną. Niemcy gromadzą w podziemiach beczki prochu. A gdy potem proch ten wybucha, oświadczają: „To nie nasza wina. Nie myśleliśmy, że zwyczajna zapałka spowoduje taką katastrofę". Zapominają, że gdyby nie nagromadzili byli tyle materjałów wybuchowych, nie byłoby eksplozji.



*Pies-przyjaciel jednego z lotników niemieckich.*

Jakże zresztą mogliby pragnąć wojny już dzisiaj, gdy ich organizacja nie jest jeszcze ukończona? Wszak muszą przynajmniej wyczekać jej końca.

Są tacy, którzy mowią: Hitler kocha Francję. Ale Wilhelm II również kochał Francję, a ostatni raz, gdy go widziałem, powiedział mi: „Zawsze wyciągałem rękę do narodu francuskiego".

„Wyciągał rękę" — ale dodajmy — okutą w żelazo, uzbrojoną aż po zęby. Trudno uwierzyć, by miłość musiała występować w takim zbrojnym rynsztunku. Toteż Francja, nauczona doświadczeniem, nie wierzy już. I sama się zbroi, a po drugie szuka sprzymierzeńców. W tej kwestji Barthou rozwija ożywioną działalność. Ustalił więc wspólny punkt widzenia z Włochami w sprawie Niemiec, montuje jeszcze trwalej sojusz z Małą Ententą, do czego pomogła mu wizyta w Pradze i posłuży wizyta w Bukareszcie. A wizyta w Warszawie? Co właściwie przyniosła, o tem przekonaliśmy się po części w Genewie w pytyjskiej deklaracji min. Becka w sprawie niemieckich zbrojeń. Część opinji francuskiej przyjęła to jako fakt rozluźniania się więzów polsko-francuskich. Jako dalsza konsekwencja tego faktu ma być zbliżenie francusko-sowieckie. Prasa paryska pisze przytem wyraźnie dość, że miejsce Polski zajmie Rosja. A kto zajmie miejsce Francji w polskiej konstelacji związków międzynarodowych? Niemcy?

Wizyta Goebelsa w Warszawie jest poczytywana przez niektórych za próbę dokonującej zmiany naszej polityki. Ktoś powiedział, że ustawił on oś orjentacyjną niemieckiego „Drang nach Osten" w polskiej opinji. Ta orjentacja jest faktem historycznym. Z niej wyłonił się 1 sierpnia 1914 r. W konsekwencji my, Polacy, zarobiliśmy na tem niepodległość. Starcie się Niemiec i Rosji w dalszej czy bliższej przyszłości jest koniecznością. Musimy się zastanowić, jaką nam wobec tego zająć postawę, aby walczące centaury zniszczyły się wzajemnie i żebyśmy z tego skorzystali. Pewne wzory pozostały z lat niedawnej wojny. Na nich zapewne oparte są zjawiska, które tak niepokoją Paryż. Wówczas rachunek okazałby się trafny. Pytanie, czy tylko powtórzy się ta sama konjunktura? A jeśli nie... Polityka jest sztuką przewidywania... najgorszego, a dyplomacja sztuką przygotowania alternatyw na wypadek najgorszego... Jakie mamy alternatywy?

# Z PIŚMIENNICTWA

**KOTT. MATUSZEWSKI. PIETRZAK. S. Poezje,** str. 68..

Trzech młodych, utalentowanych poetów dało tu, mówiąc językiem sentymentalnym — pierwsze kwiaty swego natchnienia.

Pierwszy z nich, Jan Kott, jest rozlewnym lirykiem czystej próby nawet wtedy, gdy rzuca manifesty buntu. Dokucza mu bardzo ciężar naszej mechanicznej cywilizacji. Uginając się pod nim, chciałby... ,,płakać nieprzerwanie i rozpaczliwie błagać o szczęście zatrute — lecz... ogłoszono konkurs na najszczersze łkanie, a siłę łez mierzymy w ergach na minutę".

Jednak młody pieśniarz wierzy, na przekór wszystkiemu, w prostotę ożywczą natury, w twórczą, zdobywczą miłość, w szlachetne poświęcenie. Rysz. Matuszewski natomiast ma w sobie więcej epickiego zacięcia, jest bardziej zwarty, twardy, kańciasty, umie rzucać ,,rozkazy", umie z namacalną grozą przedstawiać ,,mogiły' wielkiej wojny, i umie się przytem zdobyć na ironiczny grymas. Zna już dystans między poezją a życiem i nie przywiązuje absolutnej wagi do tej czy owej zwrotki, jakoby miała zbawić świat lub choćby tylko zdobyć kobietę; czujemy jednak żar głębokiego przekonania, gdy woła w ,,Rozkazie": ,,zabraniam wam zabijać: ludzie nie umrą więcej! Bóg NAPRAWDĘ się stanie człowiekiem — w uścisku zewrzem pięście, skujemy wolę Ziemi, skujemy moc tysięcy żelazną racją stanu — szczęściem"...

Włodzimierz Pietrzak, zadużo rzeczy widzi naraz z różnych stron, by to nie obciążyło jego utworów pewnym nadmiarem. Stąd bierze się niebezpieczna kondensacja jego obrazów poetyckich, narastanie i piętrzenie, dziwne, niepokojące przeskoki. Jest w tem wszystkiem nerwowy niepokój intelektualisty, który chciałby wszystko wyrazić, zdefinjować, ująć rozumie jednak, że trzeba dokonać wyboru i nie może się nań zdecydować. Stąd te paradoksalne skoki, nieprawdopodobne wiązania myśli, stąd to wystudzanie nastroju przez jakąś niewykrystalizowaną definicję poetycką, metaforę czy porównanie. Widać, że nieraz ,,męczy się słowem, które naprózno ludziom opowie, słowo i sens są liturgicznym symbolem"... Osiąga oczywiście razporaz wysokie natężenie poetyckiej wypowiedzi, jak np. w doskonałej I-szej części Nokturnu, gdzie poeta w bardzo wyrafinowany, ale jasny sposób przedstawił przymus przemijania, żal i żałosność spopielających się nadziei zniszczonych a przecież niezniszczonych. Może niezniszczalnych.

U wszystkich trzech poetów można zaobserwować bardzo żywy stosunek do przyrody, niemal panteistyczne splatanie się z jej zjawiskami, na tym tle kształtuje się się też i erotyzm tych poezyj. Natura i Eros są wzajemnie dla siebie pretekstami, dostarczają symboli i wyrazów dla ujawnienia przeżyć poetyckich.

W całości możemy zanotować wysoce udały potrójny debjut, świadczący zarówno o szczerych źródłach natchnienia, jak i o kulturze literackiej. **cki.**

**AL. JUNOSZA-OLSZAKOWSKI. Niesamowita miłość.** 1934 r. 115 str.

Junosza-Olszakowski należy do nowego pokolenia pisarskiego, które jest pod urokiem ducha współczesności z jej maszynizmem z jednej strony, a z drugiej szerokiemi perspektywami życia psychicznego, powiedzmy ściślej parapsychicznego. Tematem powieści pod powyższym tytułem jest życie jasnowidza, człowieka obdarzonego niezwykłą właściwością rozdwajania się i odbywania w tym stanie dalekich, kosmicznych wędrówek. Nie to jednak jest w tej książce ciekawe. Najciekawszą jej stronę stanowi głód, niedosyt metafizyczny; dręczące pytanie, czy istnieje życie pozagrobowe, powraca razporaz na kartach nietylko tej, ale i poprzedniej powieści ,,Ostatni człowiek", gdzie autor porusza problem końca świata i komunikacji międzyplanetarnej, torpedowej.

Do zalet pisarskich Olszakowskiego należy zaliczyć umiejętność wiązania sensacyj z zagadnieniami wyższego rzędu. Szczupłe ramy powieści nie pozwalają oczywiście autorowi na pogłębienie rysunku psychologicznego bohaterów. W każdymbądź razie Olszakowski daje nam lekturę zajmującą i nawskroś nowoczesną. **cki.**

**JAN SZCZEPKOWSKI. Odkopane źródła.** Str. 154. Książki błękitne. 1934.

Do literatury dla podrastającej młodzieży ostatnia książka Szczepkowskiego wnosi nowy, a przynajmniej ogromnie rzadko spotykany rodzaj, wiążący problematykę dziecięctwa z życiem ludzi dojrzałych, ich troskami i obowiązkami. Autor szczęśliwie przytem pozostawia inicjatywę pewnych dobroczynnych w swych skutkach odkryć przy młodych, którzy, dzięki temu, wnoszą do życia nowe wartości. Nawiązywanie do tradycyj lokalnych Mazowsza oraz historji w sposób przytem dobrze uzasadniony i artystycznie przepracowany stanowi drugą zaletę książki. Trzecią jest zdrowa tendencja społecznikowska, w tym wypadku głoszenie zasad współpracy chaty z dworem. Czwartą stanowią zalety stylistyczne, zwłaszcza świetna gwara mazowiecka. Książka wartościowa, zasługująca na polecenie. **cki.**

---

**INSTYTUT TEATRALNY.**

Tegoroczny popis, nazwany egzaminem publicznym, Instytutu prowadzonego przez p. Aleksandra Zelwerowicza, ukazał nam sporą grupkę młodych adeptów sceny, razporaz przejawiających iskrę talentu, a w każdymbądź razie wykazujących staranne wyszkolenie. Pełnię aktorskiego kunsztu w większym stopniu — rzecz zwykła i zrozumiała — osiągały kobiety, jak np.: Łopuszańska w roli fertycznej Justusi z ,,Męża i żony", wyjątkowo szczęśliwie sięgająca po laury komedjowe, lub Nina Andrycz, kreująca Salome ze szlachetnym, wyrafinowanym patosem. Dalej znów Skubniewska jako bohaterka Pygmaljona wykazała wysoką klasę gry skupionej, operującej szerokim rejestrem od tonów ostrych, zimnych, brutalnych do głęboko lirycznych, nastrojowych, serdecznych. W ten sposób wyraziście zarysowała się tragedja rozbudzonej idywidualności ulicznej kwiaciarki, pozbawionej następnie możności utrzymania się w swem nowem, a przecież już właściwem środowisku.

Gdy u młodych adeptek widzimy szybszą dojrzałość wrodzonego kobiecie aktorstwa w kierunku lirycznym i patetycznym, u panów wyższość w stawianiu postaci komicznych. Wyraźne tego dowody złożył Jerzy Kopczewski, stwarzając starego Dootle. Kobiety natomiast nie dopisały w stawianiu typów charakterystycznych. Albo były zupełnie sztywne, albo znowu nad miarę rozhukane i wulgarne, jak np. pierwsze wcielenie kwiaciarki.

Pewne wyrównanie tych dyspozycyj artystycznych, wrodzonych każdej płci, może zastąpić po dłuższej pracy scenicznej, możliwie wszechstronnej. Dążenie do tej wszechstronności niewątpliwie manifestował spektakl popisowy, którego program wypełniły: lekka komedja obyczajowa Fredry ,,Mąż i żona", G. B. Shawa ,,Pygmaljon" i O. Wildea ,,Salome".

Zrozumiała jest rzecz, że Fredro musiał wykazać pewne niedociągnięcia. Styl komedjowy Fredry nie jest łatwy, mimo pozorów lekkości, a co do ,,Męża i żony", jak to dziś wiemy dzięki Boyowi-Żeleńskiemu, należy jego zakończenie pojmować nieco inaczej niż dotąd.

Trudności niemałe miał więc do pokonania jako reżyser p. Zbigniew Sawan. Nie można powiedzieć, żeby mu się nie udało, wywiązać ze swego zadania. Inna rzecz, że może w tej lekkości i łatwości fredrowskiej nie dostrzegliśmy w stu procentach właściwego jej wdzięku, charmu, ale nie wymagajmy zawiele.

Reżyserja p. Sewerinówny dobrze uwydatniła specyficzną angielskość atmosfery komedji Shawa, gdzie wśród wyrafinowanej lub brutalnej żonglerki słownej przejawia się przecież serce, poczciwe ludzkie serce.

,,Salome" skrócona, niestety, dla braku czasu dała nam możność zapoznania się jedynie z drapieżnym egoizmem bohaterki wildowskiej w świetnej, patetycznej interpretacji p. Andrycz oraz z dobrą interpretacją Johannana przez p. Śródkę.

---

**TOW. IM. PIOTRA SKARGI.**

W bieżącym sezonie Tow. im. Piotra Skargi przystąpiło do żywszej działalności wewnętrznej, do skupienia członków. Dla tych członków Tow. urządziło szereg zebrań dyskusyjnych z referatami pp.: Morawskiego o Masonerji, Błażejewicza o Quadragesimo Anno, Romera o Niemczech hitlerowskich. Doskonałe referaty pozwoliły na przeprowadzenie ożywionej wymiany myśli na aktualne tematy.

---

**WIECZÓR ESU.**

Ostatni w tym sezonie wieczór klubu ,,S" poświęcony został referatowi o postawie estetycznej, oraz odczytaniu poematów Jana Kotta i impresji Freda Łaszowskiego ,,Pierwszy maja na prowincji" Utwór Łaszowskiego ma szereg zalet pierwszej klasy literackiego reportażu, napisanego z pasją, a przytem z ironją, która każdą rzecz otacza dodatkowym profilem kpinkarstwa. Słuchało się tego utworu z przyjemnością, dzięki werwie lapidarności i trafności w stawianiu ludzi i problemów.

# Dział Kobiecy

## DLA DUSZY.

*Wszelka doskonałość w tem życiu, z jakąś niedoskonałością jest połączona i wszelkiemu dociekaniu naszemu towarzyszy ciemność jakaś.*

*Pokorne poznanie samego siebie, pewniejszą jest drogą do Boga, aniżeli zaciekanie się w głęboką umiejętność.*

*Nie należy naganiać umiejętności, ani też wszelkiej prostej znajomości rzeczy, albowiem są, które w sobie dobre są, bo z Boga są; ale nad wszelką umiejętność przekładaj zawsze dobre sumienie i żywot cnotliwy.*

*Lecz, że wielu więcej stara się o to, żeby umieć, jak żeby żyć dobrze, dlatego często błądzą, i albo mało, albo żadnego nie odnoszą pożytku.*

*Miłość bliźniego ku wszystkim mieć trzeba, lecz poufałość nigdy nie przystoi.*

*Zdarza się czasem, że ktoś nieznany używa dobrej sławy, a gdy się da poznać, traci ją zupełnie.*

*Zdaje się nam niekiedy, że przypodobamy się drugim zażyłością naszą; aż oto poczynamy się bardziej niepodobać, skoro postrzegą nieprawość obyczajów naszych.*

**Tomasz à Kempis.**
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

---

# „NADUŻYCIA DLA UŻYCIA"

Pod takim tytułem, świetny adwokat, p. Stanisław Szurlej, pisze w „Kurjerze Warszawskim" znakomity artykuł, w którym z bólem stwierdza, że na ławach oskarżonych, zasiadają coraz częściej ludzie, których poziom umysłowy, powinienby raz na zawsze wykluczać z tej nieszczęsnej kategorji.

„Raz jest adwokat, pisze p. Szurlej, innym razem wysoki urzędnik ministerjum, rejenci, dyrektorzy banku, słowem tak zwana inteligencja", a wszystkich przywiodły na ławę w sądzie, sprzeniewierzenia, łapówki, „nadużycia dla użycia".

A nie przecząc ani prawa do zabawy, ani rozrywki, ani godziwego upojenia się czarą uciech życia, Szanowny znawca dusz ludzkich, ich wzniesień i upadków, stwierdza słabość charakterów, brak mocnych fundamentów etycznych, które jedynie dać może „chrześcijańska rodzina, bo trwa najdłużej i może być poparta przykładem", dodając: „Ale nie łatwo ją znaleźć".

Gorzkie twierdzenie.

A potem mówi o „surogatach rodziny z pozorami" jej istnienia i o tych „miłościach", które są chwilową namiętnością tylko i nie mają nic wsólnego z pięknem i wzniosłem uczuciem, dającem tyle szczęścia tym ludziom, którzy kochać umieją.

I jeszcze czytamy: „miłością nazywa się szaleństwa dla kobiet, w następstwie, defraudacje, strzały"... „A ta kobieta zwykle nawet nie wie skąd są pieniądze na owe szaleństwa".

I tu Szanowny Autor usprawiedliwia kobietę, składając całą winę tylko na męską słabość wobec nas.

Tak to jest niezawodnie, ale czas aby tak nie było.

Często zdarzało mi się w życiu spotykać ze zdaniem, z całą otwartością i bezwiedzą jego znaczenia wymawianem:

— Ja się w interesy męża nie wtrącam.

Albo:

— Ja nigdy w jego biurze — nie byłam.

Albo:

— Progu fabryki i sklepu nie przestąpiłam — i t. d. bez końca.

I zawsze wtedy myślałam: Toś ty może także nie weszła ani razu w jego duszę, nie odgadłaś jego myśli, nie byłaś podporą w trosce, nie pomogłaś w walce z trudem.

Znalazła się potem taka, która cię wyręczyła, ale którą niewiele obchodziła, ta codzienna strona życia.

Byłaś bierna wtedy, kiedy jeszcze mogłaś go ustrzec od błędu, grzechu, nareszcie przestępstwa.

A przywiązując wielką wagę i wielkie znaczenie rodzinie i wysoko ceniąc stanowisko w niej kobiety, zawsze byłabym skłonna do obciążenia jej odpowiedzialnością, współczując nawet jednocześnie jej cierpieniom, w znoszeniu konsekwencyj — nie dość pielęgnowanej sztuki życia.

Podczas wojny, kiedy wielu cudzoziemców spotykałam, z których niejeden bywał częstym gościem w naszym domu, uwaga bystrego obserwatora dochodziła mnie, zawsze stwierdzająca u nas słabość charakterów męskich, a hart kobiet, budzący podziw.

Więc czemu to tak jest? Czemu, jeśli, co stwierdzać musimy na każdem polu działania, że kobiety nasze bywają mocne, że umieją z trudem zdobywać wybitne stanowiska, że żadna nie zawiodła zaufania w pełnionej służbie, choć niejedna bywa prokurentką poważnych instytucyj i współdziałaczką w dużych obrotach pieniężnych. Czemu kobiety, matki, wychowawczynie, nie umieją wszczepić swych cnót w synów własnych? Gdzie i w czem leży błąd, który niezawodnie popełniają? Czemu to ciągnie się niemal stale? W zmienionej formie, w miarę zmienności torów, ale stale.

Przecież wiek niewoli, o którym będzie kiedyś pisał historyk, zaświadczy siłę charakteru polskich kobiet. Cóż to za olbrzymi jej rozwój, począwszy od entuzjastek — skończywszy na setkach samodzielnych, na wszystkich szczeblach dzielnie pełniących swe obowiązki pracownic.

Nie zdarza się, chwalić Niebo, aby kobieta popełniła „nadużycia — dla użycia". Czemu nie umie przykładem zarażać, wpływem chronić, silną swą wolą — zniewalać słabych? Trud to wielki. Zapewne. Ale

może być tak bogaty w następstwa, tak błogosławiony przez te, które go podejmą, tyle dobra wnieść do ogólnego podniesienia — człowieka, że trudu tego warta wielka sprawa.

Ufać trzeba, że kobieta, która, podczas długiej niewoli, ani na chwilę nie zbaczała z drogi, po której szła z wysokiemi ideałami, miłości Boga i Ojczyzny, a zapatrzona w daleki cel wyzwolenia jej z kajdan, w łonie swym wynosiła żołnierza polskiego, który o tę swobodę walczył, niosąc jej swe młode życie w ofierze, ta kobieta, w zmienionej formie pełnego swego równouprawnienia, ale i Wolnej Ojczyzny — potrafi znaleźć drogę do skrzepienia charakterów swych synów i usunięcia hańbiącego nas dziś piętna, jakiem jest: *„Nadużycie dla użycia.*

**L. Kotarbińska.**

# ZJAZD KATOLICKI ZWIĄZKU POLEK

Pod przewodnictwem p. Wład. hr. Zamoyskiej odbył się Zjazd Kat. Zw. Polek, gromadząc setki kobiet, z których 120 były delegatkami oddziałów.

Przewodnicząca zagaiła obrady, a ks. dyr. Wład. Lewandowicz wygłosił wzniosłe przemówienie, oparte na słowach Ojca świętego, wygłoszonych na audjencji Międzynarodowej Unji Kat. Związków Kobiecych w dn. 9 kwietn. b. r. Zjazdu, z którego przebiegu p. Zamoyska dała obszerne sprawozdanie.

W drugim dniu Zjazdu uczestniczki Zjazdu zgromadziły się w kościele PP. Wizytek, gdzie J. Em. Ks. Kardynał Kakowski odprawił Mszę świętą. Krótkie kazanie powiedział ks. dyr. Lewandowicz.

Obrady zaś gorącem przemówieniem poprzedził J. Em. Ks. Kardynał Kakowski.

Rezolucje uchwalone jednomyślne brzmią jak następuje:

„W hołdzie Ojcu św., któremu w Akcji Katolickiej zawsze wiernie służyć pragniemy, w uczuciu głębokiej wdzięczności za głos ojcowski w liście pasterskim biskupów polskich podany, głos, będący drogowskazem dla naszych sumień, a bodźcem i zachętą w naszej pracy, my, kobiety katolickie, postanawiamy wytężyć wszystkie nasze siły, aby przykładem życia i pracą naszą przyczynić się do zapanowania ducha chrześcijańskiego w Polsce.

1) Walczyć będziemy z duchem niewiary, z propagandą wolnomyślicielstwa, z pismami i wydawnictwami, podkopującemi wiarę naszych ojców, jednocześnie starając się usilnie i wytrwale pogłębiać własne wyrobienie duchowe i wiedzę religijną.

2) Wobec zalewu pism, szerzących rozprężenie obyczajów, a w pełnem zrozumieniu jak ważnym czynnikiem wychowawczym jest prasa, zobowiązujemy się do propagowania książek i pism katolickich, aby w miarę możności, mimo ciężkich czasów, w każdym domu znajdowały się pisma katolickie, a jednocześnie domy nasze i dzieci nasze strzec będziemy przed niekatolickiemi i szkodliwemi wydawnictwami.

3) Rozumiejąc, że dzisiejsze prądy niewiary i niemoralności przedewszystkiem zagrażają młodzieży, usilnie dbać będziemy, aby młodzież wstępowała do organizacyj katolickich, w nich znalazła oparcie i pomoc, w przeświadczeniu, że tylko w organizacjach katolickich otrzyma ona pełne wychowanie człowieka i obywatela.

4) Wobec wypaczenia dzisiejszych niezdrowych rozrywek, których młodzież poszukuje w organizacjach i instytucjach niekatolickich i towarzystwach nieodpowiednich, starać się będziemy, aby młodzież, która rozrywki potrzebuje i ma do niej prawo, znajdowała w domach rodzinnych i w organizacjach katolickich zdrową, moralną i pełną radości rozrywkę.

5) Wobec grozy szerzącego się t. zw. świadomego macierzyństwa, my, kobiety Akcji Katolickiej, będziemy szerzyć znajomość prawa Bożego i obowiązków z tego prawa wypływających, przedewszystkiem wśród młodych matek i wśród młodzieży, wstępującej w związki małżeńskie.

6) W zrozumieniu niebezpieczeństwa dla państwa, a przestępstwa wobec Boga, związanego z uprawnieniem praktyk świadomego macierzyństwa, my, katoliczki, nie będziemy tolerowały na terenie naszych parafij, naszych gmin i wiosek osób uprawiających niedozwolone zabiegi.

7) W każdej chwili życia, mniej lub więcej pomyślnej, będziemy dobro i interes rodziny stawiały ponad dobro własne, a w chwilach ciężkich w życiu, w chwilach upadku ducha, prowadzących niejednokrotnie do wynaturzeń w życiu małżeństwa, my, kobiety, będziemy podtrzymywać ducha i wiarę w Opatrzność Bożą, czuwającą nad rodzinami, aby w ten sposób prawo Boże, dotyczące tych obowiązków, było całkowicie wypełnione.

8) Chcemy stać wiernie i niewzruszenie przy sztandarze Akcji Katolickiej, mimo wszelkich trudności i sprzeciwów i z całą gotowością i karnością wypełniać zawsze wskazania hierarchji kościelnej". **r.**

# ZDOBIENIE MIASTA

Mały kącik — a bezmiar przyjemności może dać w każdym domu.

Jaki? Który? — zapytacie Sz. Czytelniczki ciekawie, bo któżby niemiał ochoty odnaleźć go u siebie?

Zaraz powiemy:

*Balkon* się nazywa.

Ta mała druciana skrzynka, przypięta do muru wielkiej kamienicy, może dać istotnie bardzo miłą rozrywkę, z minimalną w stosunku do niej dozą pracy i nakładu grosza.

Kto z wiosną o tem pomyślał, ma już i swego chowu pelargonje i zwieszającą się, w kiściach kwitnącą nasturcję i zieleń pnącej się dokoła fasoli, lub groszku pachnącego. Kto o to niezadbał, niemiał ochoty, albo i czasu, jeszcze może zdobyć tanio w podmiejskich ogrodach flanców trochę i choćby w doniczkach otoczyć pustą klatkę — trochą kwiatów i zieleni.

Pisząca te słowa brała nagrody za zdobienie balkonu. Ale, nawet radość z otrzymanej patery, czy pięknej plakietki z wieżą Wawelskiej świątyni, nie zrobiły jej takiej przyjemności, ile jej dawał i daje dotąd rozkoszy balkon, na trzeciem piętrze, który skrzętnie pielęgnowany, w porę podlewany, z kurzu miejskiego skrapianiem zwolniony, staje się wykwintnym, miniaturo-

wym ogródkiem, dla wnętrza domu, a ozdobą dla miasta, o czem każdy obywatel pamiętać powinien i uważać to sobie niemal za obowiązek stroić miasto.

„Jak cię widzą, tak cię piszą“, mówi stare przysłowie, i ma rację. Cóż to za cuda robi Holandja, Belgja, Niemcy! Prześcigają się w zdobieniu miasta roślinnością. Jakież to tam i balkony, i okna, i skwery. Zawsze miałam wrażenie, w małem nawet miasteczku na obczyźnie, że się odbywa tu właśnie jakaś uroczystość, zanim się nie zmiarkowałam, że to dzień zwykły, i że te fale kwiecia wynurzające się z okien to tylko świadectwo zamiłowania i staranności tych, do których należą.

U nas: Bydgoszcz, Grudziądz, Toruń, Chełmno, oko pieszczą dekoracją domostw. Warszawa, dopiero kilkanaście lat temu z oporem zaczęła oceniać starania naszych poważnych ogrodników. A „Koło Miłośników Ogrodnictwa“ poruszyło ogół, wprzęgło dziatwę do roboty, rozwija dokoła zamiłowanie do pielęgnowania roślin i ogłasza *konkursy,* wespół z Magistratem m. st. Warszawy na balkony i okna zdobne roślinami żywemi.

Do konkursu zaliczają się również i ogródki. Zarząd „Koła Miłośników Ogrodnictwa“ prosi o nadsyłanie jak najwcześniej zgłoszeń pod adresem biura Koła: Jerozolimska 20 m. 16 (tel. 632 — 70). Wpisowe wynosi 3 zł., dla członków Koła 2 zł.

Zarząd zawiadamia, że specjalna Komisja dokona przeglądu zgłoszonych balkonów i okien dwukrotnie. w sezonie letnim raz, i we wrześniu — drugi raz.

Dodać należy, że Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza co miesiąc dla swoich członków zebrania urozmaicone pogadankami i losowaniem roślin. Zdobi roślinami żywemi szkoły i dąży do rozbudzenia zamiłowania przyrody, co bodaj w najmniejszym zakresie, daje zawsze wiele radości i zbliża do tych tajemnic, które ręka Stwórcy rozsiała dokoła nas, a które poznawać i podziwiać winno być nakazem moralnym, każdego kulturalnego człowieka.

Kobieca ręka — ma w zdobieniu domu swego decydujący niemal zawsze głos. Niechże przeniesie swą władzę i nazewnątrz domu, dla rozkoszy własnej, a ozdoby szarych murów miasta.

**Mrówka.**



# WYSTAWA LNU W WARSZAWIE

Z wielkim nakładem pracy i staranności urządzono z początkiem czerwca wystawę przemysłu lnianego w Warszawie w Dolinie Szwajcarskiej.

Przedstawiono tu historję przerobu lnu i wełny od pokazu ziarna na zasiew, aż do najdelikatniejszych tkanin na stroje damskie.

Tablice i wykresy wskazywały nam w jakiej okolicy kraju i glebie zasiewać odpowiedni rodzaj nasienia, by wydało plon doskonały.

Liczne maszyny, krosna i tkalnie przerabiają na



*Lniana tkanina na meblach.*

wystawie len od pierwszego okresu miedlenia, aż do wyrobu nadzwyczaj delikatnych tkanin obrusowych.

W chacie wiejskiej, urządzonej na wzór chat we wsi Dalekie, dwie kobiety nawijały len na motowidło i przędły ręcznie cienkie białe nici.

Nieprzeliczona ilość rozmaitych płócien szarych, białych, kolorowych, deseniowych pozwala na przedstawienie użyteczności płótna lnianego w gospodarstwie domowem na odzież wiejską, mundury dla wojska, sprzęt i odzież dla marynarki.

Bardzo okazale przedstawiały się działy Ministerstwa Komunikacji z personelem kolejowym przybranym w len, minjaturą wagonu osobowego drugiej klasy, gdzie obicia ławek, firanki do okien, siatka na bagaż, wszystko wykonano z polskiego lnu.

Ministerstwo Sprawiedliwości dało ciekawy obraz wyrobów tkanych i robót ręcznych więźniów w Fordonie i Wiśniczu. Delikatne koronki ręczne i prześliczne pledy z króliczej sierści zwracały powszechną uwagę.

Ministerstwo Wyznań Rel. i O. Publ. dało doskonały przegląd zastosowania tkaniny lnianej na mundurki szkolne i na sprzęt sportowy wszelkiego rodzaju.

W dziale Ministerstwa Spraw Wojskowych zadziwia wspaniały zbiór materjałów sanitarnych z całym taborem ratowniczym, watą lnianą, bandażami, gazą lnianą, olejem lnianym, noszami, płaszczami lekarskiemi.

Związek Pań Domu przedstawił oryginalne meble składane, pokryte jutą lniano-konopną, nie ustępującą zupełnie zagranicznym tkaninom.

Zwraca uwagę bardzo pomysłowa szafa letniskowa złożona z jesionowych ram obitych szarem płótnem. Całość lekka, odpowiednia do przewiezienia na letnisko.

Makaty, nakrycia stołu, kapy i portjery, tkane w doskonałe wzory, nęcą swą piękną prostą i niską ceną. Bardzo bogato przedstawiony jest dział sukien damskich i dziecięcych, ubrań męskich, kostjumów i płaszczy oraz stosownych do tego kapeluszy, delikatnych pantofelków z pletni sznurkowej, torebek damskich i kwiatów do kapeluszy, wykonanych z kolorowej przędzy lnianej.

W dziale haftów i koronek ogromne bogactwo pomysłów i techniki.

Prześliczne były materjały w kratę i pasy lub pepitę do przybrania sukien damskich.

Oryginalny, cieniuchny owal lniany szary w paski z niebieskiej nitki na wieczorowe suknie.

Z prawdziwą przyjemnością spotykaliśmy nici lniane krajowego wyrobu do robót szydełkowych i maszyny, nici barwione do haftu, zastępujące zupełnie obcą przędzę D. M. C. i inne.

Barwiki do przędzy i tkanin dostarcza fabryka barwików w Zgierzu.

Na wszelkich grubościach tkaniny lnianej i konopnej zebrane były hafty ludowe: kaszubskie, nowogrodzkie, wołyńskie, poleskie, z Małopolski. Koronki ze Śląska i Podhala.

Niezliczona ilość kartek z napisem „sprzedane" świadczy o wielkiej frekwencji zwiedzających i coraz bardziej rosnącem zamiłowaniu społeczeństwa do przemysłu i tkaniny lnianej.

Liczne szkoły przemysłowe, zawodowe i artystyczne wykazały swemi eksponatami znajomość wartości lnu mogącego w zupełności zastąpić przędzę zagraniczną i podnieść równocześnie dobrobyt wieśniaka siejącego i obrabiającego len polski. **Marja Stefkowa.**

# ZJAZD POLAKÓW Z ZAGRANICY

Piątego sierpnia r. b. stolica nasza przeżywać będzie dni, które zapiszą się w naszej historji niezatartym faktem. Z całego świata zlecą, niby ptactwo do gniazda się rwące, delegacje Polaków rozsypanych jak piasek morza — po całych, wielkich przestrzeniach naszego globu. Jest nas poza granicami kraju ośm miljonów. Potężna liczba. A w niej jedno hasło — Polska. Snać potężne, skoro usłyszały je miljony. Na zew komitetu, który podjął gigantyczną pracę organizacyjną pod protektoratem **Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, marszałka Józefa Piłsudskiego i Prymasa Polski Ks. Kardynała Augusta Hlonda,** meldują się jedne za drugiemi delegacje ugrupowań polskich ze wszystkich państw Europy, pozatem z Afryki, Nowej Zelandji, Australji, Ameryki południowej i północnej. Delegaci mają zborne miejsce w Warszawie, skąd po kilkudniowym pobycie, naradach, które odbędą się w sejmie, uczestniczeniu wielkiego spławu na Wiśle, organizowanego przez L. M. i K. z jenerałem St. Kwaśniewskim na czele — pojadą dalej do Krakowa, Wieliczki, Lwowa, Torunia i Gdyni.

Zjazd ten ma ogromne dla nas znaczenie. Przedewszystkiem obliczymy się. Nie odstępując od zasady lojalności każdego obywatela, względem kraju w którym żyje i pracuje — przyrzekniemy sobie utrzymywać wzajemne ścisłe stosunki. Czuwać nad utrzymaniem polskości, wiary i obyczajów w rodzinach. My będziemy pewni, że zdobędziemy emisarjuszy, rozumiejących swą siłę propagandową naszych spraw na obczyźnie. Oni — przekonają się, że mają zaplecze w swym własnym kraju, nad którego rozwojem i wznoszeniem potęgi pracujemy wszyscy. Że ten kraj. w miarę naturalnego rozwoju, znaleźć będzie mógł miejsce i pracę dla każdego, kto doń zatęskni. Że w naszym wspólnym wysiłku może się wzmóc niejedna produkcja i ożywić przemysł i handel. Że wreszcie pragniemy, aby ci wszyscy, którzy przez długie lata zmiennością losów gnani za oceany, góry i lasy, wiedzieli, że tu w Polsce jest serce ich serc, że ono bije gorącem umiłowaniem wszystkich i wszystkiego, co polskie. A nadewszystko stwierdzimy, że choć dalecy, jesteśmy sobie bliscy, bo utorowaliśmy pracę dla wspólnie łączących nas wzniosłych ideałów. W zjeździe musimy brać wszyscy udział. Wszyscy karnie pełnić polecenia komitetu i stawiać się na każde jego wezwanie.

**R.**

# CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

**Tow. pomocy dzieciom i młodzieży z Kresów,** którego przewodniczącą jest p. Alina Śliwińska a wiceprezeskami są pp. J. Jaroszyńska i Rabinderowa, zorganizowało wystawę prac wychowanków Towarzystwa. Dorobek znamienity. Tem więcej ciekawy, że są to roboty wykonane przeważnie poza czasem na naukę przeznaczonym, z internatów nietylko warszawskich, mieszczących się na Lusa XI, w ognisku akademiczek, na Grzybowskiej, ale z Chełmna, Bydgoszczy i Grudziądza, skąd nawet chłopcy szczycą się wystawianiem obok wyrobów ze stali i drzewa, obok kajaka jeszcze i haftami, własną ręką wykonanemi. — Wystawę odwiedziła p. Prezydentowa, a wszyscy zwiedzający muszą dzielić uznanie dla starań i pracy zarządu.

**W Wilnie odbył się VII zjazd delegatek polskiego „Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem",** należącego do międzynarodowej Federacji. We wskrzeszonych, pięknie odbudowanych murach uniwersytetu króla Batorego, w sali imienia Śniadeckich, głos zabrała przewodnicząca Stowarzyszenia, strzegącego zawsze praw należnych kobietom p. T. Męczkowska, mówiąc o współczesnych zagadnieniach działalności kobiet. Dalej zabierała głos: p. Adamowiczowa, wiceprzewodnicząca międzynarodowej Federacji Kobiet Siemieńska, roztaczająca opiekę i walcząca z jedną z najboleśniejszych plag społecznych — handlem kobietami i dziećmi.

Całą wycieczkę, z werwą sobie właściwą, opisuje pani Jadwiga Kiewnarska w „Kurjerze Warszawskim", biorąca udział w pięknem zgromadzeniu, notując z zadowoleniem, że stanowisko adwokatki p. Sztukalskiej nie przeszkodziło do gościnnego podjęcia przyjezdnych, które zapoznały się z doskonale zorganizowanym domem polskim.

**P. Alicja Dorabialska** powołana została na profesora chemji fizycznej na Politechnice Lwowskiej. Jest to pierwsza kobieta u nas, obejmująca to stanowisko. Maleńka, drobna, robi wrażenie dziewczynki, w której niewiadomo jak się mieści tyle nietylko nauki, ale tyle pracy i wytrwania do jej zdobycia. Ma przytem tę pogodę i uśmiech łatwy, jakie cechują często właśnie ludzi uczonych.

**Pielgrzymka matek do Częstochowy** odbyła się w niebywale podniosłym nastroju. Ze wszystkich okolic kraju zjechały się kobiety polskie, aby u stóp ołtarza Matki Boskiej, Patronki młodzieży na Jasnej Górze, polecić Jej opiekę nad dziećmi swemi. Gorąco modliły się matki polskie o dobre natchnienie tych, którym kierownictwo nad młodzieżą, urabianie ich charakterów, podnoszenie serc — zostaje powierzone. Pragnąć należy a wierzyć trzeba, że głos płynący z tych największych źródeł, bo serc macierzyńskich, wysłuchany będzie.

**WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE W P. K. O. W MIESIĄCU MAJU 1934 R.**

Wkłady oszczędnościowe w P. K. O. wzrosły w miesiącu maju b. r. o zł. 8.664.642, osiągając na dzień 31 V 1934 r. stan zł. 518.268.292, łącznie zaś z wkładami pochodzącemi z waloryzacji dawnich wkładów markowych zł. 543.315.921.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu maja b. r. P. K. O. wydała 24.659 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 31 V 1934 r. ogólną liczbę 1.230.668 książeczek, łącznie zaś z książeczkami pochodzącemi z waloryzacji 1.262.292 książeczek.

## CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

**Wiedzieć każda pani domu,** każda matka, każda pracownica powinna, że bodaj godzina spędzona na powietrzu to zdrowie to siła do dalszych trudów, to leki na uspokojenie nerwów, słowem **to konieczność,** na którą w najbardziej zatrudnionem życiu czas znaleźć trzeba. Do parku Paderewskiego, nad Wisłę, za rogatkę, pieszo do Wilanowa, byle zobaczyć dużo nieba nad sobą, dużo zieleni dokoła, dużo ciszy użyć i wrócić do pracy — odrodzoną. To będzie staranie i o ciało i o duszę.

**Wiedzieć każda matka zechce** i to z radością, że Ministerjum Oświaty zarządziło, aby kuratorja zajęły się energicznie poprawą stanu sanitarno-higjenicznego budynków i lokali szkół powszechnych, co ma być przeprowadzone podczas bieżącego lata.

**Wiedzieć dla spokoju muszą** wszyscy ci, którzy mają dzieci na kolonjach letnich, że Departament Zdrowia rozciągnął nad niemi opiekę. Dzieci są poddawane szczepieniu ochronnemu, chroniącemu je od chorób epidemicznych, które mogłyby być plagą dla większych zbiorowisk dzieci na kolonjach. W czerwcu i lipcu 50.000 dzieci otrzyma szczepienie przeciw tyfusowi brzusznemu.

**Wiedzieć także muszą matki,** że w szkołach specjalnem staraniem otoczona będzie młodzież odbywająca ćwiczenia cielesne i używająca sportów. Lekarze szkolni będą obowiązani badać dzieci przed ćwiczeniami fizycznemi.

**Wiedzieć powinny te matki,** które często zwracają się do nas z żalem na programy przedstawień filmowych, że na tem polu zrobione są duże starania, aby nie wkradały się niestosowne nietylko dla młodzieży, ale i starszym zostawiające niesmak — obrazy. Zebrana komisja regulaminowa, do której składu weszły: Polski Związek przemysłowców filmowych, Zw. Zrzeszeń Teatrów Świetlnych, Polski Zw. Producentów Filmów Krótkometrowych i Zw. Producentów Filmowych, odtąd czuwać wspólnie będzie nad tem źródłem taniej rozrywki, której w naszych kinach szukają setki tysięcy ludzi.

**Każda z nas, nietylko wiedzieć,** bo już wie, ale i pamiętać powinna, że na Fundusz Obrony Morza — trwa składka „Powszechna, stała, dobrowolna", i że są mareczki od 5 groszy, które my powinniśmy zamieniać na brzęczącą monetę wśród naszych kół znajomych i tą drobną pamięcią przyczyniać się do zebrania wielkiej sumy 7.000.000 miljonów złotych, a dopomagać do jeszcze większego dzieła: **Obrony naszego morza.** Mareczki są do nabycia w biurze L. M. K. Widok 10, parter.

**Każda kobieta-obywatelka** wiedzieć musi, że należenie do Oddziału Kobiet L. M. K. to legitymacja zrozumienia ważności sprawy posiadania naszego małego skrawka morza, który jednak stanowi znaczenie potęgi naszego państwa. Składka członkowska jest potrójna. Członek zwyczajny płaci jeden złoty miesięcznie i dostaje piękny numer „Morza", sympatyk 50 groszy. Członek zbiorowy 10 groszy. Drobne te składki, mogące w całości stanowić duże sumy — to uspokojenie sumienia, że się pełni obywatelski obowiązek i spłaca zaciągnięty dług u tych, którzy w walce o to morze dawali życie. — Zarząd Oddziału — czeka na zapisy!



## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Do „Domu Polskiego" w Jeruzalem.* — Prosimy uprzejmie o nadesłanie do naszej Redakcji Prospektu, abyśmy mogli znów Czytelnikom naszym przypomnieć o niezbędnej pomocy dla „Domu Polskiego" i poruszyć tę sprawę w szerszych kołach. Przesyłamy życzenia dla pracy, której: Szczęść Boże!

*P. Michalinie Węg... w Tarnowie.* Nawet pięciogroszowe mareczki są do sprzedania z przeznaczeniem na Fundusz Obrony Morza. Dostać je Sz. Pani może w miejscowem kole L. M. i K., które napewno jest zorganizowane w Tarnowie. A jeśli nie, prosimy o zamówienie, a wyślemy natychmiast za zaliczeniem, choćby za tysiące. Chodzi o to właśnie w tej zbiórce, aby nie było człowieka w całym kraju któryby nie złożył *dobrowolnie* ofiarnego grosza na wielki cel Obrony naszego Morza. Niech Pani weźmie to w swoje ręce energicznie, bo to nagła potrzeba.

# KĄCIK DLA DZIECI

## NA WSI.

Mała Krysia mieszkała w dużem mieście. zwykle w lecie wyjeżdżali z nią rodzice na świeże powietrze. Była kilka razy nad morzem, była i w górach, ale na prawdziwej wsi nigdy nie była. Ogromnie się też ucieszyła, gdy mamusia powiedziała do niej: — Wiesz, Krysiu, gdzie pojedziemy w tym roku? Na prawdziwą wieś! — Na wieś prawdziwą — wykrzyknęła Krysia, klaszcząc w rączki — mamusiu! Tam gdzie chlebek rośnie? — Tak, skinęła poważnie mamusia. tam gdzie chlebek rośnie!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Jechała Krysia koleją, a potem końmi, nie taką zwykłą dorożką, ale ładnym powozem i parą kasztanków, najpierw szosą, obsadzoną smukłemi topolami, a potem drogą wśród lasu. Trochę się Krysia bała, czy z tego lasu wilki nie wyjdą, ale mamusia uspokoiła ją i zaczęła opowiadać jak to z wujkiem, kiedy byli jeszcze małemi dziećmi do tych lasów jeździli i zbierali grzyby i jagody. A woził ich ten sam stangret, stary Franciszek, z którym teraz jadą. — Aha! to dlatego tak się z mamusią witał — domyśliła się Krysia. Bardzo się jej to zabawne wydawało, że mamusia była kiedyś małą dziewczynką, tak jak teraz ona i że wychowywała się na tej wsi, a teraz mieszka w mieście! — i zaraz powiedziała to mamusi, a ta uśmiechnęła się, pokiwała głową i powiedziała: — ano tak, Krysiu, w życiu się składa, ja ze wsi mieszkam w mieście, a babcia twoja miejska panna była, a gospodarowała na wsi — i znów mamusia pokiwała głową. W tej chwili Franciszek obrócił się z kozła, uchylił czapki i wskazując batem ciemną kępę drzew i białe zabudowania, odezwał się: ot i dwór już widać!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wesoły promyk słońca raz i drugi musnął Krysię po nosku, po rozchylonej buzi, aż zawędrował do oczek i tak w nie uparcie świecić zaczął, że śpioszka przebudziła się i rada nierada otworzyła oczy. Ale oprzytomniawszy. wyskoczyła na równe nogi z łóżka, przypomniawszy sobie, że jest na wsi i tyle ma rzeczy do zobaczenia. Za oknem rozlegały się jakieś głosy obce, nowe i w tej chwili otworzyły się drzwi i weszła mamusia uśmiechnięta z pękiem polnych kwiatów w ręku a za nią wszedł poważnie wielki łaciaty wyżeł As, z którym Krysia już zawarła znajomość wczoraj wieczorem. — Wyspał się już mój śpioszek? — roześmiała się mamusia. — Mamusiu, co to tam tak hałasuje za oknem? — To kaczki kwaczą, idąc do stawu, a tam dalej gdaczą kury i labidzą indyczki, krzyczą perlice... bo twoje okno blisko kurzego podwórka. — Och. mamusiu — wykrzyknęła Krysia — ja chcę zobaczyć kurczątka prawdziwe, podobno są takie same jak te z żółtej wełny, co dostałam na Wielkanoc? — Podobne, córeczko. ale o wiele ładniejsze. Ale teraz ubieraj się prędko, bo pojedziemy z wujkiem w pole!

Jak przyjemnie było jechać śmiesznym małym wózkiem na dwu kołach. Wujek powiedział, że to się nazywa „biedka". Krysia siedziała między wujkiem a mamusią. którzy ciągle się śmieli, wspominając różne figle z lat dziecinnych. Po drodze widziała Krysia prawdziwego zajączka, który spłoszony, uciekał, migając białym ogonkiem; ptaszki różne śpiewały nad ich głowami. Wreszcie wujek zatrzymał konia: — No, wysiadajcie, pójdziemy tą miedzą. Wysoko, wysoko pod niebem dzwoniła ptasia piosenka. — Słyszysz, Krysiu — powiedział — to śpiewa skowronek.

Szli miedzą między falującemi kłosami zboża. Mamusia przesuwała ręką po kłosach — piękne będą plony — mówiła. — Tak, tak — potwierdzał wujek — byle pogoda dopisała — Wujku — przerwała nagle Krysia — a gdzie ten chlebek rośnie? — Chlebek? — zadziwił się wujek. — No tak! Niania mi mówiła, że w polu chlebek rośnie, a ja go tu wcale nie widzę, tylko ciągle te wysokie trawy! — Ależ Krysiu! — zawołała mamusia — to przecież zboże! — Zboże? — pokręciła główką Krysia. — Ha, ha, ha — śmiał się wujek — chlebka się pannie zachciało! A nie wiesz to. że bez pracy niema kołaczy? A potem wziął ją na ręce i powiedział poważnie: — Widzisz, Krysiu, to wszystko co wokół rośnie, to zboże, z którego chleb mieć będziemy. Zaorze się ziemię, rzuci w nią ziarnka drobne, zabronuje. deszczyk ziemię polewa, słonko grzeje, wyrosną małe trawki, rosną coraz wyższe i wyższe aż się na końcu kłosy zawiążą, zakwitną, ziarnkami się okryją, dojrzeją. Przyjdą żniwiarze, zetną zboże, powiążą w snopy, zwiozą do stodoły, wymłócą, do młyna zawiozą, a w młynie ziarnka na mąkę przemielą, a z mąki tej chlebek będzie i bułeczki i placki. Jak wrócimy do domu to pokażę ci różne rodzaje zboża. Tu stoimy wśród żyta, z którego chlebek najlepszy, a teraz zawiozę was do pszenicy, z której tak ci przy śniadaniu bułeczka smakowała. Krysia słuchała słów wujka, kiwając poważnie główką i nagle zapytała — A dlaczego to się nazywa zboże?

— Zboże — odpowiedział wujek — w dawnych czasach znaczyło bogactwo, a wszelkie zboże nazywano żytem, bo dawało żywność, życie. Ale później przeniesiono tę nazwę na gatunek jeden, a wszystko nazwano zbożem — bo Słowianie byli rolniczym narodem i te złote kłosy były ich bogactwem. Rozumiesz Krysiu?

— Dużo rozumiem, ale nie wszystko — odpowiedziała — ale teraz już wiem, że dużo trzeba pracować nim chlebek będzie gotowy, i na wsi i w mieście.

**H. Rostafińska-Choynowska.**

### RANKIEM

*Pachnie kwietna łąka,*
*Błyszczą krople rosy,*
*O świtaniu krówki*
*Gna pastuszek bosy.*
*W blaskach rannych słonka*
*Rumienią się drzewa —*
*Pastuszek gna krówki*
*I tak z serca śpiewa*
*Modlitwę poranną*
*Najprostszemi słowy:*
*„Strzeż mnie przenajświętsza*
*Panno z Częstochowy".*

**H. R. Ch.**

### W LIPCU

*Już po święcie Matki Bożej,*
*Już się zaczną żniwa,*
*Już przepiórka swoją piosnkę*
*Do żniwiarzy śpiewa:*
*„Pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć,*
*Już dostało zboże!*
*Pójdźcie żąć, zbierać plon,*
*Pomagaj wam Boże!"*
*Dźwięczy kosa cienko, śpiewnie,*
*Klepana żelazem*
*Wyostrzona osełkami*
*Równo raz za razem.*
*Pada zboże z cichym chrzęstem*
*Równiutko pokotem,*
*Błyszczy słoma w blaskach słońca*
*Szczerem jasnem złotem.*
*A tam w niebie święta Anna*
*Kornie prosi Wnuka,*
*By obfity plon wydała*
*Każda orna włóka.*

**H. R. Ch.**

### NA SKRZYPECZKACH

*Na skrzypeczkach, na lipowych,*
*Dziwne piosnki gram,*
*A tych piosnek czarodziejskich*
*Pełną duszę mam.*
*Skowronkowe nutki rzewne,*
*Szumny wichru śpiew*
*I deszczowych kropel dźwięki*
*I poszepty drzew.*
*Szmery trzciny i sitowia*
*I plusk wodnych fal,*
*I słoneczne jasne śmiechy —*
*Tęsknoty i żal.*

**H. R. Ch.**

**Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów.** **Redaktor: Józef Czarnecki.**
**Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.**
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie- Przedmieście 71.

# ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

### TRZECI KONKURS KWARTALNY

Po zakończeniu w numerze czerwcowym II konkursu kwartalnego, przystępujemy obecnie do następnego, pod warunkami niezmienionemi.

Termin nadsyłania zadań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

### 1. LOGOGRYF (3 pkt.)

Co nas dręczy, co nas gniecie —
o tem sami dobrze wiecie!
Lecz gdzie główny wróg się chowa,
niech wykryją wam te słowa:

Ze „Sonetów" pierwszy znany,
wieszcz opiewał go kochany.
**Piąty** ongiś „bajki" tworzył
i w nie „mądrość życia" włożył.
**Ósme** niegdyś głosił Plato,
stąd też „boskim" zwany za to.
**Trzecich** dawnych pełno w Rzymie,
sporo wieków też w nich drzemie.
Tam nad „ladem" **Siódmy** czuwał
i budowli dozorował.
**Szóste** — włoskie to wybrzeże,
cudne latem są tam „leże".
**Druga** w Włoszech także płynie,
ma swe źródła w „Apeninie".
**Czwarta**, płynąc, w morzu ginie
w „Iberyjskiej" hen krainie...

Pierwszy rządek i końcowy
sens wam poda już gotowy!

(Dla ułatwienia podajemy, że wyrazy są czteroliterowe, na rozwiązania zaś składają się następujące dwugłoski: **an, do, ed, ce, ez, id, in, io, jo, kr, li, op, ru, ta, yl, ym.**)

**M. Waksmundzka czł. Kl. Sz.**

### 2. FIGIELKI SZARADOWE (po 1—razem 6 pkt.)

1. Wprost — to pieśniarz w dawnych czasach,
Wspak — niemiły w pustych lasach.
2. Wprost — kapryśny czasem bywa,
Wspak — tak nuta się nazywa.
3. Wprost — myśliwy lubi śledzić,
Wspak — marynarz musi zwiedzić.
4. Wprost — to kolor róży bywa,
Wspak — dziewczyna wiąże w żniwa.
5. Wprost — po morzu zwykle pływa,
Wspak — styl w sztuce się nazywa.
6. Wprost — wszak Polka go odkryła,
Wspak — otrzymać, to rzecz miła.

**Cz. Kaczyńska czł. Kl. Sz.**

### 3. REBUS KOŁOWY (5 pkt.)




Na treść rebusu składa się 6 wyrazów o początkowych literach: W, n, k, p, s, n.

**A. Borowski**
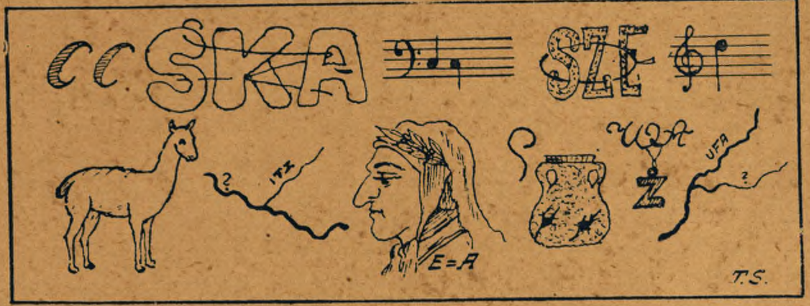
### 4. UZUPEŁNIANKA (4 pkt.)

| | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| S | | r | | e | | y | | o | | z | | z | |
| | s | | e | | o | | u | | w | | o | | e |

Litery: **a c d e i l m p r z z z w w w** — należy wstawić w puste kratki tak, aby otrzymać rozwiązanie złożone z 6 wyrazów.

**H, Pawłowski czł. Kl. Sz.**

### 5. REBUS (5 pkt.)




Treścią rebusu jest złożone z 9 wyrazów o początkowych literach: S, w, s, s, a, n, k, r. u.

**T. Sobecki.**

### LISTA UCZESTNIKÓW I NAGRÓD I KONK. KWART. 1934.

(Przy nazwiskach podane cyfry oznaczają ilość uzyskanych punktów za rozwiązania.)

„Andrus z nad Wisły" 48, Bakoński W. Sulejówek 48, Ciesielski L. 48, Czepiel K. Warszawa 40, Czerniakowski D. Warszawa 18, Denasiewicz K. Drohobycz 48, Dobosz A. Lwów 36, Durkal J. Warszawa 26, „Erka" Warszawa 48, Follek Fr. G. Grupa 48, „Izyda" Warszawa 48, Ikaniewicz B. Grajewo 19, Jastrzębska Z. Warszawa 48, „Jawnuta" Słonim 48, Jezior K. Biała 28, Jodłówka S. Wilno 48, „Jur i Hala" Kresy 48, „Junona" Warszawa 48, „Kato" Warszawa 48, Klimczakowie J. i R. Warszawa 48, Kowalski B. Warszawa 35, Kozłowski H. Warszawa 48, Kozłowski Cz. Warszawa 48, Kozłowski N. K. Warszawa (rysunk.) 48, Król K. Kielce 18, Krzyżanowski N. Porzecze 28, „Lilla" Warszawa 48, Lilpop K. Warszawa 48, Lorekówna J. Lwów, Łopatto J. Warszawa 48, Łukawski J. Warszawa 48, „Maciej z Pomorza" 48, Małaczyński J. K. Lwów 48, Michalski G. Warszawa 38, inż. Modrzejewski J. Lublin 48, Mokrzycka H. Drohobycz 48, Nowiccy W. i W. Warszawa 48, Nubert A. Warszawa 42, Ochs N. Tarnopol 28, Drowa Opielińska H. Środa 48, Osieccy Cz. i L. Lwów 48, Pankiewicz W. N. Miasto 48, Poeche Z. Warszawa 48, Pokorny L. Warszawa 35, „Q. P." Wilno 48, Reiss J. Złoczów 30, Roguski W. Warszawa 20, Rzeszot L. Warszawa 48, Sawicki G. Warszawa 36, Senze I. Żychlin 48, Sipowiczówna M. Drohobycz 40, Sławnicka W. Baranowicze 48, Sokołowska St. Zaleszczyki 48, Strublówna M. Warszawa 48, Surma J. Białystok 24, Świątek K. Pińsk 40, Świechowski M. Przedm. Bliższe 44, Szczepańska I. Wąbrzeźno 48, Turek G. Warszawa 42, Ubiegło S. Warszawa 28, Warszałowa J. Lwów 34, Wołoszynówna Z. Woszczyce 48, Wysocka M. Warszawa 48, Zalewska M. Warszawa 48, Zielińska T. Warszawa 42, Ziober M. Lwów 48, Żyrański T. Warszawa 40.

Zgodnie z warunkami konkursu przypadły w drodze losowania, następującym osobom — **książkowe**

**nagrody kwartalne:**
p. Żyrański T. Warszawa,
p. Zalewska M. Warszawa,
„Jawnuta" Słonim;

**nagrody miesięczne:**
p. Jastrzębska Z. Warszawa,
p. Strublówna M. Warszawa;

**nagroda pocieszenia:**
p. Małaczyński J. K. Lwów;

**nagroda autorska:**
p. Kaczyński Cz. Krzemieniec.

Nagrody dla miejscowych są do odebrania w Klubie Szaradzistów (Żórawia 45. m. 10), zamiejscowym odesłane zostaną pocztą w dniach najbliższych.

### SKRZYNKA POCZTOWA

**WP. Miętusowa M. Myślenice.** Zbytecznem jest podawanie tekstów zadań, wystarczy samo rozwiązanie.



### 6. REBUS (5 pkt.)




Na treść rebusu składa się ośm wyrazów o początkowych literach: S, k, t, c, j, g, j. t.

**L. Ciesielski czł. Kl. Sz.**

# ZE ŚWIATA RADJA

**Suma nagród wynosi 2.500 zł.**

Dn. 2/VI usłyszeliśmy z Warszawy słuchowisko p. t. „Wczoraj a dziś". Była to audycja odbiegająca typem od tych, do jakich słuchacze „Teatru Wyobraźni" przyzwyczaili się w czasie jego kilkuletniego istnienia. Słuchowisko to było pokazem, jak ma wyglądać wzorowy scenarjusz radjowy. Metoda, jaką obrano przy tej audycji, okazała się niezwykle szczęśliwa. Pokazano na całym szeregu przykładów, jak nie należy przygotowywać tekstu słuchowiska do radja, aby tem silniej uwypuklić te miejsca, które były podane jako poprawne wzory.

Audycja „Wczoraj a dziś" była rzutem oka na całą przeszłą historję „Teatru Wyobraźni". Mieliśmy możność przekonania się, jaką ewolucję odbył ten nowy rodzaj sztuki zarówno w dziedzinie formy, jak i treści. Na fragmentach dawnych słuchowisk można się było przekonać, że to co dawniej budziło szczery zachwyt, dziś już nie zadawala najbardziej prymitywnych wymagań. Widocznie wraz z wydoskonaleniem się środków artystycznych „Teatru Wyobraźni" wzrosły równocześnie wymagania słuchaczy radjowych i wysubtelniła się ich wrażliwość. Zwłaszcza na tle fragmentów z najnowszych, niegranych jeszcze słuchowisk te archeologiczne niemal scenarjusze wyglądały żałośnie.

Ciekawe to i interesujące zestawienie techniki pisarskiej słuchowisk z przed ośmiu laty z techniką nowoczesnych scenarjuszy „Teatru Wyobraźni" było eksperymentem na użytek ewentualnych uczestników konkursu, jaki Polskie Radjo" ogłasza celem rozszerzenia grona pisarzy dostarczających radju scenarjuszy słuchowiskowych. Teatr Wyobraźni, który dotąd posługiwał się w przeważającym stopniu adaptacjami rzeczy nie pisanych specjalnie dla Radja, czyli tak zwanemi radjofonizacjami, idzie coraz bardziej w kierunku rzeczy oryginalnych, dostosowanych już w samej koncepcji do odmiennych warunków teatru radjowego.

Warunki konkursu słuchowiskowego Polskiego Radja są następujące:

1. Na konkurs nadsyłać można utwory słuchowiskowe wszelkiego rodzaju, o charakterze tragicznym, dramatycznym, komedjowym, lub krotochwilnym, napisane prozą.

2. Utwór konkursowy powinien być przepisany na maszynie przynajmniej w pięciu egzemplarzach, celem ułatwienia członkom jury równoczesnego zapoznania się z jego wartością.

3. Utwór konkursowy pod względem rozmiaru powinien być tak obliczony, aby przy wykonaniu go przed mikrofonem nie trwał krócej, niż pół godziny i możliwie nie dłużej ponad jedną godzinę.

4. Na egzeplarzach utworu nadesłanego na konkurs autor powinien oprócz tytułu umieścić wybrane przez siebie godło. Godło to powinno być wypisane na zamkniętej kopercie, zawierającej wewnątrz nazwisko i adres autora.

5. Utwory podpisane prawdziwem nazwiskiem lub pseudonimem, zarówno, jak utwory drukowane lub publikowane w inny sposób, lub też takie, które były posyłane na inne konkursy, będą z konkursu wyłączone.

6. Utwory konkursowe nadsyłać należy do dnia 1 października 1934 r. pod adresem Wydziału Literackiego Polskiego Radja w Warszawie, ul. Zielna 25, z zaznaczeniem „konkurs literacki". Dowodem dotrzymania zastrzeżonego terminu będzie data stempla pocztowego na przesyłce lub pokwitowanie sekretarjatu Wydziału Literackiego.

7. Za najlepsze utwory jury wyznacza 5 nagród: 1-sza w wysokości 800.— zł., dwie równorzędne drugie nagrody po 500.— złotych i dwie trzecie nagrody po 350.— złotych. Gdyby żaden z nadesłanych utworów nie był uznany przez jury za godny pierwszej nagrody, suma na nią przeznaczona będzie rozdzielona w inny sposób. To samo dotyczy nagród pozostałych. W każdym jednak razie łączna suma nagród w kwocie złotych 2.500.— będzie rozdzielona pomiędzy najlepsze utwory nadesłane na konkurs.

8. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi dnia 1 stycznia 1935 roku.

9. Utwory nienagrodzone winny być odebrane w sekretarjacie Wydziału Literackiego Polskiego Radja najpóźniej w przeciągu dwóch miesięcy od daty rozstrzygnięcia konkursu.

10. Skład jury stanowią: prezes Polskiej Akademji Literatury, p. Wacław Sieroszewski, członek Polskiej Akademji Literatury, p. Piotr Choynowski, naczelnik wydz kultury i sztuki M. W. i O. P., dr. Władysław Zawistowski, p. Zygmunt Kisielewski, p. Zdzisław Marynowski, p. Michał Melina i p. Wanda Tatarkiewicz.

**Anteną nie trzeba się martwić, trzeba ją tylko poprawić.**

Zainteresowanie się radjosłuchacza anteną wzrasta w miarę zbliżania się gorącej pory roku, której towarzyszą różnego rodzaju natężenia wyładowania atmosferycznego. Mało kto jednak śpieszy się z wywindowaniem swej cennej osoby na dach i stąd to pochodzi ta skandalicznie wielka ilość porozrywanych, pokrzywionych, przedstawiających obraz nędzy i rozpaczy tworów, mających pretensję do nazwy „antena". Wskutek zimowych nawałnic ucierpiał niejeden maszt antenowy, a raczej grochowa tyczka, mająca go zastąpić.

Czyż to nie lepiej mieć na dachu świeżo założoną antenę, umocowaną na silnych i radujących oczy estety swą wysmukłością masztach, choćby drewnianych! A odbiór też się polepszy, skoro założy się nową linkę antenową. Słabe maszty i przerdzewiały drut antenowy — to pozatem także i pewien moment niebezpieczeństwa. Wystarczy silny poryw wichru, aby zerwać słabą instalację antenową i rzucić ją na przewody elektryczne. Detektorowicz, niewolnik słuchawek, wiszący przy swym aparacie, może wtedy zapoznać się z niebardzo zdrowotnemi skutkami niedobrowolnej i gwałtownej elektryzacji. To samo dotyczy potentata głośnikowego, sterującego swoją superheterodynę poprzez niezmierzone fale eteru. Dobrze jeszcze, jeśli się skończy tylko na strachu.

Warto także poprawić uziemienie, odczyścić rurę wodociągową i powtórnie przylutować solidny kabel — najlepiej linkę antenową, nie cieńszą, niż właściwa antena. Wtedy Raszyn będzie „wychodził" tak, jakby jeden z jego masztów kończył się tuż poza oknem radjosłuchacza.

Pomiędzy anteną, a uziemieniem jest jeszcze jeden punkt, godny uwagi — przełącznik. Zainstalowany został prawidłowo poza oknem, jednakże bez żadnej osłony. Deszcze, śniegi, mgła i słońce zrobiły swoje — i oto kontakty przełącznika noszą na sobie wzorowy okaz wspaniałej rdzy. Trzeba zabrać się do odczyszczenia przełącznika; może ten i ów radjosłuchacz zdecyduje się też za jednym zachodem zbudować małą skrzynkę ochronną dla tego przyrządu. Prawidłowość instalacji anteny, uziemienia i przełącznika powinna zainteresować także i ubezpieczonych od pożaru.

Towarzystwa asekuracyjne „zasadniczo nie mają nic przeciw zainstalowaniu anteny na ubezpieczonym objekcie", jak opiewa treść formularza, zawiadamiającego o objęciu ubezpieczenia. Stawia się jedynie następujące warunki: antena przechodzi obok dachu w odległości nie mniejszej, niż 0,5 m. Pomiędzy anteną, a uziemieniem jest stale włączony odgromnik lub też użyty jest przełącznik, którego kontakty są zablokowane próżniowemi odgromnikami. Odgromnik, względnie przełącznik musi być przymocowany poza oknem. Przewód uziemiający ma mieć średnicę najmniej 2 mm i powinien być trwale przylutowany do specjalnej płyty metalowej, wpuszczonej w ziemię na głębokość 1,5 metra.

Kto przepisy te zachowa, może bez obawy oczekiwać srogiego gniewu gromowładnego Jowisza. Dobrze zainstalowana antena nietylko da swemu właścicielowi niezawodny odbiór, lecz stoi także na straży jego mienia „gdy huczą gromy i niebo łuną pała".

Powyższe uwagi nie dotyczą anteny pokojowej, względnie ramowej. Gdyby jednak znalazł się bojaźliwiec (a może radjopajęczarz??!), który uziemia antenę pokojową, to niechże to samo uczyni i z... garnkami kuchennemi, boć i one są z metalu.

**Wymienne odczyty turystyczne w Polskiem Radjo.**

„Polskie Radjo", które, jak wiadomo, weszło na drogę silnej propagandy turystyki w swych programach, oprócz tematów związanych z Polską nadawać będzie od czasu do czasu odczyty o krajach obcych. Odczyty te propagować będą walory turystyczne różnych krajów europejskich na zasadach wzajemności, to znaczy w ten sposób, że gdy „Polskie Radjo" nada na wszystkie stacje odczyt np. o Belgji — stacje belgijskie nadadzą odczyt o Polsce. Będzie to nietylko urozmaiceniem programu „Polskiego Radja", gdyż za pośrednictwem tych odczytów słuchacze polscy dowiedzą się o pięknie obcych krajów, ale będzie również wielką propagandą turystyki polskiej wśród zamożnych i zamiłowanych w turystyce społeczeństw zachodnio-europejskich.